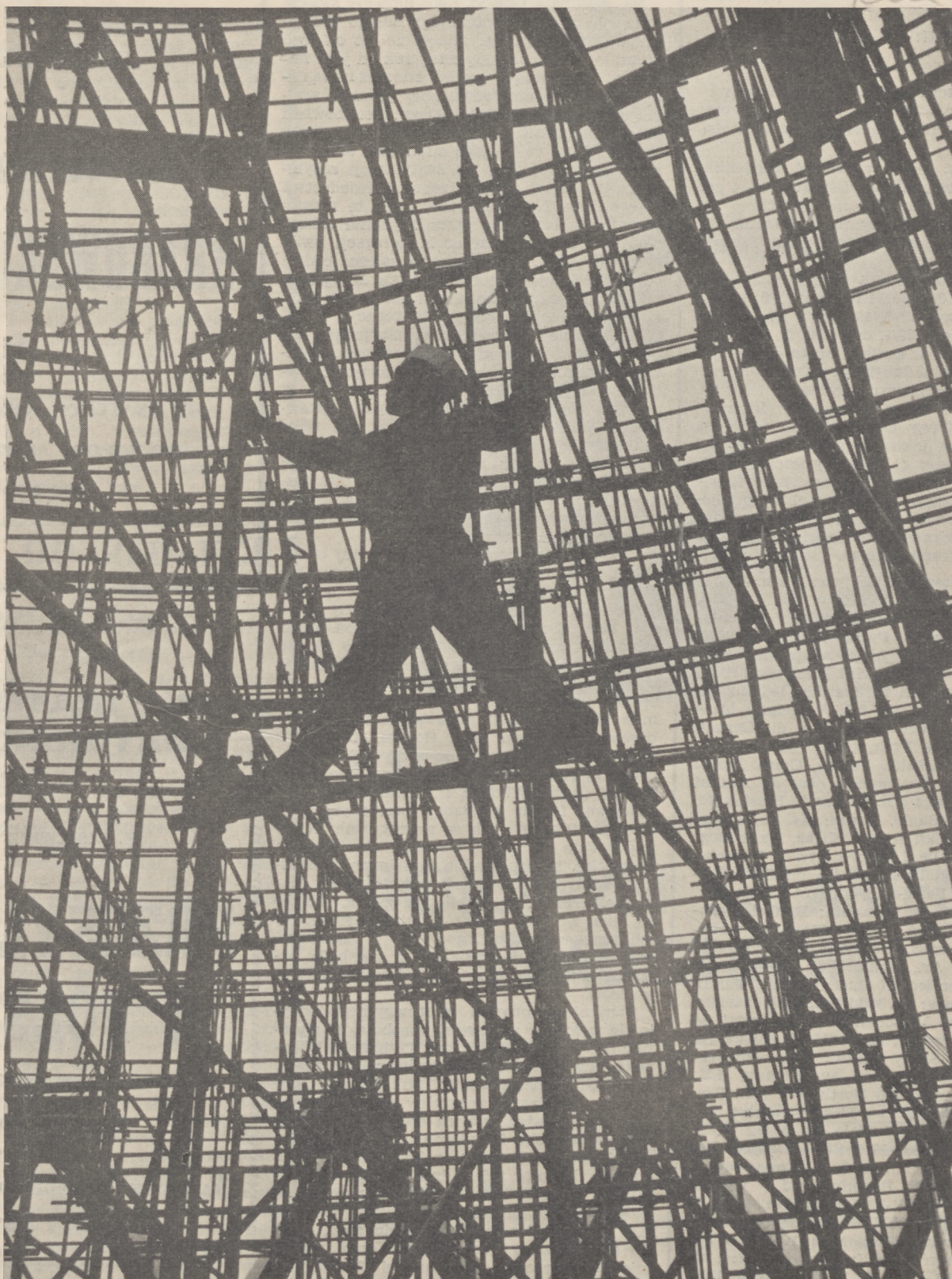


ZYCIE



W SIECI STALOWYCH WIĄZAŃ ROBOTNIK WŁOSKI BUDUJE NOWY STADION.

ROK XI — NR 7 (504)

LONDYN, NIEDZIELA, 17 LUTY 1957 R.

CENA NUMERU: szyl. 1/6 ; dol 0.25; fr. fr. 75; fr. belg. 10; fr. szw. 0.75; kr. szw. 0.80; lirów 140; D.M. 0.90.

1/6

W krajach Ameryki Południowej — równowartość szyl. 1/6.

20 Stron.

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Przenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.
Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi („crossed” (/)); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia”.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; R. Treister, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto. Niemcy: St. Mikiciuk, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. Norwegia: B. Lubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mm B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich. Pren. kwart. 9.00 fr. Szwecja: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.75 krs. Włochy: Mme Z. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C Roma.

DONIESIENIA

Zakończony proces informacyjny w sprawie arcybiskupa Cieplaka

Na przełomie 1956/57 roku możemy święcić dwie rocznice z żywota Sługi Bożego arcybiskupa Jana Cieplaka: minęło 30 lat od jego zgonu — i rozpoczął się setny rok od jego narodzin. Rok bieżący znaczy również nową datę w dziejach czci oddawanej pamięci wielkiego Arcybiskupa Wileńskiego: oto bowiem dnia 19 stycznia zakończony został proces informacyjny co do jego cnot. Jest to zamknięcie wstępnej fazy do beatyfikacji arcybiskupa Cieplaka. Zostały zebrane świadectwa o jego życiu i jego cnotach; dane te zostały ocenione i rozważone przez Trybunał Diecezjalny — i przekazane do Kongregacji Świętych Obrzędów. Odtąd sprawa zależeć będzie od 25 kardynałów, którzy stanowią Kongregację a w pierwszym rzędzie od kardynała Gaetano Cicognani, prefekta Kongregacji.

Zakończenie procesu informacyjnego ma duże znaczenie dla dalszego przebiegu sprawy. Zasadniczy zrab dowodów świętości życia został już zebrany i przedstawiony — w dalszym ciągu proces będzie dotyczył sprawdzenia przedstawionych dowodów, na zasadzie których kardynałowie będą mogli przedłożyć Ojcu św. gotowy wniosek o uznanie Sługi Bożego za Błogosławionego; ostateczną decyzję, wchodzącą w zakres najwyższego urzędu nauczycielskiego Kościoła, poweźmie sam Papież.

W sprawie przygotowania do tej ostatecznej decyzji zrobiono już wiele. Drobnym, ale ważnym proceduralnie szczegółem — tzw. „proces de non cult.” — został już zakończony temu dwa lata. Dokonana też została duża praca zebrania wszystkich pozostałych po Słudze Bożym pism. Mimo że w zawierusze wojennej ogromna ilość tych pism zaginęła, to co pozostało, stanowi dziś pięć imponujących tomów in folio. Są to przeważnie fotostaty z oryginalnych pism Sługi Bożego. Niektóre z nich, pochodzące ze zbiorów amerykańskich, oczekują jeszcze na dopełnienie formalności, zwanej „autentyfikacją”: stwierdzenia we właściwej formie ze strony posiadaczy tych pism, że fotostaty ich są autentyczne. Wiele wśród tych pism jest pisanych ołówkiem, w pośpiechu, bardzo trudno czytelnym; wszystkie zostały odficrowane i przepisane na maszynie. Kiedy, w najbliższym czasie, znajdą się one w ręku cenzorów, którzy stwierdzą ich prawowierność i zgodność z zasadami wiary katolickiej, cenzorzy ci nie będą potrzebowali tracić czasu na odczytywanie rękopisów.

Zamknięcie procesu informacyjnego odbyło się w formie uroczystej w sobotę, 19 stycznia 1957 r., w wielkiej sali Trybunału Wikariatu Rzymskiego. Przewodniczył zebraniu, jako sędzia delegowany, arcybiskup Luigi Traglia, wikariusz generalny na m. Rzym; obok niego zajęli miejsca sędziowie: księży prałaci Marcello Magliocchetti Michele Federici, Marian Strojny; prałat Pasquale Grieco jako defensor fidei i inni członkowie Trybunału, wobec których sprawę przedstawił postulator, ks. prałat Walerian Meysztołowicz. Ks. Meysztołowicz, po zamknięciu sesji, przejął akta procesu i tego samego dnia uroczystość je doręczył Sekretarzowi Kongregacji Obrzędów, J. E. ks. arcybiskupowi Carinci dla dalszego prowadzenia sprawy w procesie „apostolskim”. Na słowa postulatora, przedstawiającego sprawę, Sekretarz Kongregacji Ob-

WSZELKIE
LEKARSTWA
WSZĘDZIE
WYSYŁA

APTEKA GRABOWSKIEGO

175 DRAYCOTT AVENUE,

LONDON, S. W. 3.

TEL. KEN 0750

DLA TEATRÓW AMATORSKICH

T. LISIEWICZ

PRZESYŁKA Z POLSKI

OBRAZEK SCENICZNY

Cena 2/6.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWN.

„VERITAS”

12 Praed Mews, London, W. 2, England

rzędów odpowiedział zapewniając o swojej przychylności i wspominając osobiste spotkanie ze Sługą Bożym Arcybiskupem Cieplakiem.

Kiedy zostanie zakończony proces beatyfikacji arcybiskupa Cieplaka? — Kiedy kardynałowie zdecydują się na przedstawienie Ojcu św. wniosku, i kiedy Papież swoją ostateczną decyzję poweźmie? Nie ma w tej chwili odpowiedzi na te pytania. To pewne, że ta druga faza procesu, zwana procesem apostolskim, potrwać musi czas dłuższy; jej zakończenie zależy od decyzji samego Ojca Świętego, który musi ją powziąć zgodnie z własną wolą i po ostatecznym jej rozważeniu w swoim sumieniu najwyższego na ziemi Pasterza Dusz chrześcijańskich.

Sprawa arcybiskupa Cieplaka nie jest pozbawiona aktualności: otwiera on długą listę biskupów katolickich prześladowanych przez komunizm. (Lista tych biskupów zawiera obecnie 156 nazwisk, a jest ona na pewno niekompletna.) Cześć oddana arcybiskupowi Cieplakowi, wyznawcy wiary katolickiej wobec prześladowców bezbożnych, jest równocześnie czcią oddawaną wszystkim biskupom, którzy, jak on, mężnie wytrwali w prześladowaniu i zwycięsko zeń wyszli.

Pochodził z Polski — ale niósł pełną poświęcenia służbę Chrystusowi w dwóch krajach, dziś stojących groźnie jeden naprzeciw drugiego: w Rosji i w Ameryce. Umiał je łączyć w jednej miłości, obejmującej zarówno Sybir, jak Middle West. Duszpasterz wiernych katolików w Rosji i w Ameryce jest wyraznym symbolem powszechności Kościoła, takiej, jaką ona się przedstawia oczom współczesnego człowieka.

LISTY DO REDAKCJI

O MŁODYCH Z KRAJU

Szanowny Panie Redaktorze!

Po kilkakrotnym spotkaniu się z Polakami z grupy „Mazowsze” bawiącymi na gościnnym występach artystycznych w Londynie, doczedłem do wniosku, że młodzież ta, mimo iż wychowywana była w okresie największego komunizowania Kraju, wyrosła — wbrew nadziejom komunistów — na szczerych Polaków i co więcej — że ci młodzi garną się do nas całym sercem. Uwydatnia się to na każdym kroku, w każdym geście i słowie. W szczerych rozmowach wyznają, jakie mieli obawy, jadąc tutaj do nas jak do ludzi najbliższych. Nie wiedzieli, czy rozumiemy czym jesteśmy dla nich, czy nie odpowiemy im obojętnością a może potraktujemy jak komunistów?

Tak się jednak na szczęście nie stało. Dzięki Bogu za to! Mimo forsownej i od lat prowadzonej propagandy komunistycznej starającej się wszelkimi sposobami poróżnić naród polski w Kraju z nami — na obczyźnie — miłujemy się na wzajem.

W rozmowach z nimi wyszło na jaw, że rozumiemy się doskonale, my „stad”, w większości pokolenie starsze, i oni „stamtąd”, młodzie. Wydaje mi się, że może za mało dotychczas myśleliśmy o nich, o ich życiu codziennym, o ich potrzebach. Większość z nas zajmowała się przeważnie tylko losem swoich rodzin, a my wszyscy przecież, wbrew wszelkim pozornym sprzecznościom, tworzymy jedną zwartą rodzinę polską. Różnica w tej chwili polega tylko na tym, że my — mimo życia wygnańczego — mamy się nienajgorzej, a oni są w nędzy!

ZYCIE — Nr 7 (504) 17. 2. 1957 r.

JEDNA Z ILUSTRACJI



KSIAŻKI:

Jerzy Grobicki

BOJOWYM SZLAKIEM PRADZIADÓW

w lutowej subskrypcji
BIBLIOTEKI POLSKIEJ

CENA Z OPAKOWANIEM I PRZESYŁKĄ:

SZYL 10/-; DOL. 1.50; FR. FR. 500.

Termin subskrypcji upływa 28 lutego 1957 r.

Zamówienia do KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS”
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

POLITYKA NA EMIGRACJI

Gdy przed tygodniem referent polityczny ZYCIA przyniósł mi sprawozdanie ze zjazdu działaczy Skarbu Narodowego w Wielkiej Brytanii, bardzo się zastanawiałem, czy poświęcić pełne dwa łamy drogiego miejsca na opis tego zdarzenia. Po namyśle zdecydowałem się sprawozdanie w przyniesionej mi długości jednakże zamieścić, zaopatrzając je wszakże przypiskiem zapowiadającym wrócenie do tego tematu w osobnym artykule redakcyjnym (ZYCIE, nr 6(503), str. 15).

Zjazd ten dotyka bowiem (odbyty w tej zwłaszcza chwili) kluczowego spłotu działania politycznego na emigracji. Emigracyjne sprawy polityczne już od dawna, co najmniej od trzech lat, sprawiły moc kłopotów każdemu pismu polskiemu na uchodźstwie, które chciało służyć wszystkim Polakom i całej sprawie polskiej. Sprawiały kłopot nie tylko dlatego, że powstał wśród nich podział, ale dlatego przede wszystkim, że nawet ten podział nie usunął sennosci myśli i działania, jaka od sporego czasu cechowała nasze życie polityczne. Gdy dziennikarz, na tle istniejącego podziału, skrytykował wystąpienie jednej czy drugiej strony, natychmiast podnosił się krzyk protestu po stronie krytykowanej, a miśk zadowolenia po stronie ich oponentów. Treść wystąpienia ustępowała wśród tych hałasów na dalszy plan.

Od dawna przyjęliśmy zasadę ustosunkowywania się do działania politycznego emigracji w sposób wartościujący uczynki, a nie deklaracje, podstawy uprawnień i gesty. Obchodziło nas jedynie, co pożytecznego się dla Polski robi, a nie kto to robi. Przyznaję, że spodziewaliśmy się i spodziewamy nadal daleko więcej ze strony polityków Zjednoczenia, po prostu dlatego, że to ugrupowanie polityczne ma o wiele większe zaplecze mas emigracyjnych, które mu politycznie zaufały. Ale otrzymując więcej, czy od większej ilości osób, jest się automatycznie skazanym na to, że i wysuwane wymagania będą większe. I tu dochodzimy do sprawy zjazdu Skarbu Narodowego, który jest szkatułą finansującą tę dużą organizację polityczną, jaką jest obóz Zjednoczenia.

Przeczytałem bardzo dokładnie sprawozdanie ze zjazdu i, przyznam się, że nie wszystko mi się w rzeczach wyczytanych podobało. Prelegenci mówili o tym, że wobec zmian i przeobrażeń w Kraju, społeczeństwo więcej powinno niż dotychczas dawać na Skarb Narodowy. „Co potrafimy zrobić, co potrafimy zebrać, żeby móc zrobić — to będzie nasz posag na chwilę powrotu” — mówił jeden z prelegentów.

W tym zdaniu powinno się czerwonym ołówkiem podkreślić czasownik „z r o b i ć”. Pomijam przesadzone i napuszone w jednym z przemówień zestawienia dokonanych dotychczasowych, interesuje mnie już tylko teraźniejszość i przyszłość. W tej chwili staje przed emigracją największy z dotychczasowych egzaminów ofiarności. Jest wiele pilnych celów emigracyjnych i bardzo wiele ważnych celów krajowych, które domagają się natychmiastowej pomocy. Woła o pomoc również i Skarb Narodowy. Ani na chwilę nie waham się postawić go w jednym rzędzie z innymi pilnymi sprawami.

Jednakże cóż będziemy ukrywać przed sobą, iż dotychczas więcej było gestu niż prawdziwego działania? Nie chcę nie dostrzegać ważnej przyczyny tego stanu rzeczy, a mianowicie znacznego zastojności możliwości i zerwania się związku z konkretem działania. Ale są również zwinione błędy. Główny błąd pochodzi ze zgody na drzemkę polityczną i z ograniczenia ambicji polityków do tego, aby nie ustawało powolne kręcenie się nastawionej przez nich maszyny politycznej.

Często słyzy się pojękujące narzekania, że w czasach naszych znaczy coś w polityce jedynie siła materialna. Powiedzmy, że wszystkimi zastrzeżeniami, że tak jest. Ależ jeśli ktoś nie ma siły materialnej, musi przecież ten brak nadrobić głową, podwójną dawką rozumienia politycznego, aby wyrównać niedostatek owej siły materialnej i nadać coś jeszcze ponadto, ponieważ żaden poważny polityk nie będzie twierdził, że siła materialna bez rozumienia politycznego może się na dłużej ostać. Fatalnie natomiast już jest, gdy się obłą wspomniane czynniki chce zastąpić poprawną biurokracją. Zanim przez trybiki naszych ciał politycznych, przez morza deklaracji i rezolucji, przez mnogość nudnych jak lukrecja tzw. „organów „partyjnych” przejdzie się myśl, nowa koncepcja, zanim pochwyta one narastające z dnia na dzień nowe elementy sytuacji, czas posunąć się już bardzo naprzód. Uroczyste posunięcia uderzają często w próżnię.

Jeśli przed społeczeństwem emigracyjnym stanął w tej chwili egzamin wielkiej ofiarności, to na pewno przed politykami polskimi na emigracji pojawiła się w tym samym czasie próba sprawności największa i najważniejsza od innych — nie waham się tej właśnie cyfry podać — siedemnastu lat. W bardzo wielu wypadkach zespół polityków emigracji może pomóc konkretnie temu wielkiemu procesowi wyzwolenia, jaki się toczy poprzez całą przestrzeń samodzielną sowieckiego, a tak blisko dotyka naszego Kraju. Ale niezależnie od tego zadania, przed polskimi politykami na emigracji stanęła w bezpośrednim już zbliżeniu konieczność znalezienia rozwiązań dla całej zachodniej alternatywy polityki narodowej. Rozpoczęte procesy w bloku sowieckim i wypalki w Polsce uczyniły dla takich działań sytuację szczególnie korzystną, kto wie czy nie korzystniejszą nawet niż w latach wojny z Niemcami.

W sprawozdaniu ze zjazdu Skarbu Narodowego, a zwłaszcza w czasie przemówieniach, nie dosłuchałem się jeszcze oznak, które by wskazywały na otrząśnięcie się polityków emigracyjnych z dotychczasowej rutyny i somnambulicznej poprawności.

Panowie, świat wszedł w okres wielkich wydarzeń! Nadszedł obecnie czas na największe napięcie ludzkiej zdolności umysłowych, charakteru i woli. Dzień dzisiejszy jest czymś innym, niż minione wczoraj. Jeśli politycy w pełni ten fakt rozumieją, nie powinni obawiać się o swoją szkatułę, czyli Skarb Narodowy. Nie widziałem jeszcze dotąd w polskim życiu sytuacji takiej, w której b. społeczeństwo poskapiło środkami, gdy widzi, że się istotnie coś ważnego i korzystnego dla Kraju robi.

J. K.

Ze moje spostrzeżenia nie są gołosłowne, pozwolę sobie zacytować opinię o narodzie w Kraju J. Em. Ks. Prymasa Polski (który nie robi żadnych wyjątków). W kazaniu do zgromadzonych na Jasnej Górze w dniu 2 grudnia ub. roku lekarzy z całej Polski J. Em. Ks. Kardynał Wyszyński tak mówił: „...Ten naród godzien jest miłości, ten lud godzien jest naszej opieki, naszej pomocy. Zasługuje na to. Zbyt wiele dał dowodów swej podziwu godnej wartości: zbyt jest męski, zbyt bohaterski, zbyt dumny, zbyt wspaniały — jako ten łab, któremu każda burza, w każdym niemal dziesiątku lat wieku każdego koronę zrywa z czoła i sprawia, że musi się wpiąć w to łono polskiej ziemi korzeniami jak najgłębiej, aby uratować byt i życie. Prawdziwie taki naród zasługuje na miłość. I my, bez odcienia szowinizmu, czy fałszywej dumy możemy powiedzieć, że dobrze Bóg uczynił, że związał nas właśnie z takim narodem. Nie jest on bez wad. Ale więcej niż wad, najmiłsi, ma męki, ma cierpienia, ma bólu. I potrzeba mu pomóc... Musimy się wspierać sercem!...”

Są to słowa Ks. Kardynała skierowane do tych, którzy ze swego powołania mają obowiązek służyć pomocą narodowi. Równie dobrze można je zastosować do nas, do emigracji, której powołaniem jest też nieść pomoc narodowi, nieść pomoc wszystkimi siłami i środkami, by „wspierać się sercem”.

Z poważaniem

Z. J. Sochocki

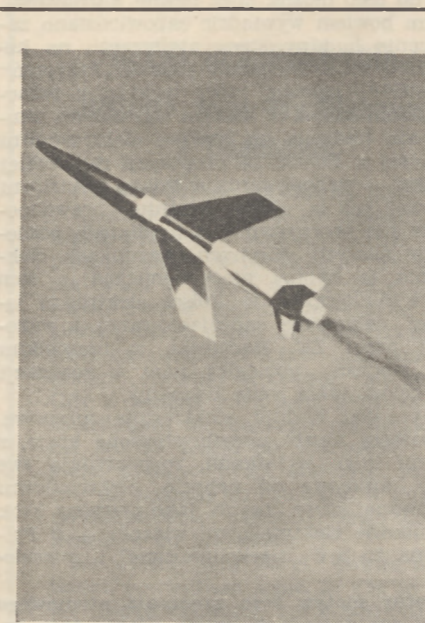
UCHWAŁA RJN. W AMERYCE

Rada Jedności Narodowej Oddział w Ameryce na swym zebraniu plenarnym odbytym w sobotę i niedzielę 12 i 13 stycznia, powzięła jednomyślną uchwałę zaapelowania do Rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki o udzielenie pomocy dla ludności w Polsce. W czasie zebrania przeważała opinia, iż tylko pomoc z zewnątrz może uratować Polskę od głodu i wewnętrznych zabarzeń — w jej obecnej, jak najbardziej trudnej, sytuacji politycznej i katastrofalnym stanie gospodarczym, w jakim się znalazła w następstwie dwunastu lat rządów komunistycznych. Zebranie wyraża opinię, iż pomoc amerykańska w żywności, surowcach i maszynach przyniesie odpowiednie rezultaty, o ile będzie udzielona szybko i w sposób należyty.

Rada nie uważa, aby było obecnie wskazane otwieranie w tym kraju polskich konsulatów, czy innych urzędów, z których mogłaby wychodzić propaganda komunistyczna do Polaków przebywających w Stanach jak i do Amerykanów polskiego pochodzenia. Rada jest w możności kontaktowania się z Polską, a zaznacza się to w szczególności — na polu nauki, sztuki i prasy. To skłania nas do wysunięcia prośby o umożliwienie studiów w Stanach Zjednoczonych — na warunkach stypendiów dla jak największej liczby studentów i profesorów z Polski. Jest też konieczne naszym zdaniem zwrócenie się do obecnych władz w Polsce o usunięcie utrudnień uniemożliwiających swobodną przysyłkę z Ameryki do Polski gazet, książek i innych amerykańskich wydawnictw w języku polskim czy angielskim. Ludność w Polsce powita z wielkim zadowoleniem wszelkie w tym kierunku podjęte starania.

Powyższą depeszę do ministra stanu Dulleasa podpisali:

Otto Pehr, prezes; Bolesław Wierzbiański i Adam Niebieszczański — wiceprezisi; Bolesław Biega, sekretarz generalny; Feliks Gadowski, członek; Stefan Korboński, członek i kierownik Polish Delegation to the Assembly of Captive European Nations.



W czasie „kryzysu sueskiego” Sowiety groziły Wielkiej Brytanii atomowym bombardowaniem przy pomocy pocisków kierowanych na odległość. W czasie niedawnego pobytu w Ameryce brytyjskiego ministra obrony Duncana Sandysa Stany Zjednoczone podzieliły się z Wielką Brytanią wynikami swych badań i sprzętem w tym zakresie. Pociski kierowane w erze atomowo-wodowej coraz bardziej wysuwają się na pierwszy plan pogotowia zbrojnego i obrony. — Ilustracja nasza przedstawia jeden z typów amerykańskich pocisków kierowanych, „Lacrosse”, w czasie lotu. Ten typ pocisku kierowanego wyrzucany jest ze specjalnych ruchomych platform.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ZYCIE KRAJU:

Czeki dotąd nie pokryte
Sejm występujący do pracy
„Osservatore Romano” o wyborach w Polsce

ZYCIE KATOLICKIE:

Konsekracja Biskupów odbyła się dawno
Kościół katolicki w Bułgarii

POLACY W SWIECIE:

Habilitacja dr Z. Hołub-Pacewiczowej

NIEMCY:

Najwyższy przełożony
Rewizjonizm niemiecki

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE:

Aden — Jemen
Zjednoczenie Niemiec
Austria
Kaszmir

ZYCIE GOSPODARCZE:

Polska flota handlowa
MEDYCINA:

Kiedy naprawdę przychodzi starość?
Syntetyczne antybiotyki
Higiena jamy ustnej

TEATR:

Dwa światy — Tymon Terlecki
Str. 4 — „Punkty widzenia”
Str. 13 — „Raptularz wydarzeń”
Str. 18 — Notatki
Str. 19 — T. Lisiewicz: „Pokuta wody”
Str. 20 — „Ludzie i zdarzenia”

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XI — NR 7(504) LONDYN, NIEDZIELA, 17 LUTEGO 1957

ENERGIA ATOMOWA W POLSCE

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Artykuł dra T. Felsztyna omawia doniosłą sprawę rozwoju badań atomowych w Polsce, oraz rozwoju metod zastosowania energii atomowej do potrzeb gospodarczych i leczniczych w Kraju. Autor z goryczą pisze o polityce Sowietów, które — pozornie popierając rozwój badań atomowych w krajach od siebie uzależnionych — w rzeczywistości hamowały postęp tych prac, zatrzymując w swoich rękach monopol badawczy, techniczny i surowce w zakresie energii atomowej. Równocześnie podkreśla dr Felsztyn nieustające wysiłki uczonych polskich w przełamaniu wszystkich przeszkód i prowadzeniu pracy w najbardziej nawet dotąd niesprzyjających warunkach. — Już po napisaniu i złożeniu niniejszego artykułu nadeszła z Polski wiadomość, że krąg młodych uczonych polskich z krakowskiego Instytutu Badań Jądrowych, pod kierownictwem prof. dr. H. Niwodniczańskiego, uruchomił w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego w całości zbudowany przez siebie tzw. mały cyklotron. Po ukończeniu budowy odpowiednich budynków cyklotron zostanie do niego przeniesiony. Autor artykułu wspomina o tych pracach uczonych krakowskich. Radością powitać należy wiadomość o zakończeniu prac nad cyklotronem. RED.

Od 1955 roku pokojowe zastosowanie energii atomowej rozwija się na świecie w bardzo szybkim tempie. Na czoło niewątpliwie wysuwała się pod tym względem Anglia. Jej elektrosiłownia atomowa, otwarta w październiku zeszłego roku, jest pierwszym poważnym krokiem ku zastępowaniu dotychczasowych źródeł energii — energią drzemającą wewnątrz atomu, a zakontraktowane obecnie trzy nowe elektrosiłownie o mocy co najmniej 900 milionów watów są dowodem, że Anglia — w zrozumieniu swego położenia w zakresie zaopatrywania w paliwo — stara się w możliwie szybkim tempie oprzeć swą przyszłość przemysłową na atomowych podstawach.

W Stanach Zjednoczonych, choć ich zapasy paliwa konwencjonalnego są obfite i wyczerpanie nie grozi im tak rychło, prace nad rozwojem energii atomowej idą w szybkim tempie i każdy nieomal miesiąc przynosi nam wiadomości o rozpoczęciu budowy jakiejś nowej elektrosiłowni.

Stosy atomowe i uran dla innych państw. Wysiłki Stanów Zjednoczonych idą jednak nie tylko w kierunku budowy własnych elektrosiłowni, ale również mają na celu i

pomoc innym krajom. I tak Belgia zamówiła w Ameryce stos atomowy o mocy 11.500 kilowatów dla budowanej przez nią elektrosiłowni atomowej, która zacznie działać już w roku następnym. Hiszpania otrzymała stos atomowy o mocy 3.000 kilowatów. Brazylia, Włochy i Dania o mocy 5.000 kilowatów, a Holandia o mocy 20.000 kilowatów. Wszystkie te stosy dostarczają Stany Zjednoczone poniżej kosztów własnych, gdyż część ceny zakupu pokrywa rząd amerykański z własnej kieszeni, dopłacając do każdego stosu średnio po 350.000 dolarów. Ponadto Stany Zjednoczone oddają do dyspozycji państw, które nabyły u nich stosy atomowe, łącznie prawie 40.000 kilogramów uranu 235, a więc ilość wystarczającą na wykonanie kilku tysięcy bomb atomowych.

Wymienione tu stosy mają moc stosunkowo małą. Widać więc wyraźnie, że państwa, które je zamawiają, traktują je jedynie jako stosy o charakterze doświadczalnym, mające na celu wyszkolenie personelu i studia nad budową nowych, własnych stosów. Amerykanie zdają sobie z tego doskonale sprawę i nawet pomagają tym zamiarom państw otrzymujących stosy, organizując dla ich inżynierów i fizyków fachowe kursy o rozmaitych czasie trwania. I warto może dodać, że owe dostarczanie stosów atomowych nie jest połączone z żadnymi zobowiązaniami ze strony nabywców poza jednym: oto, że wytworzony w tych stosach pluton nie zostanie użyty dla celów wojskowych (bomba atomowa), a jedynie dla pokojowej produkcji energii atomowej.

Oczywiście, Stany Zjednoczone nie czynią tego jedynie z pobudek altruistycznych. Poza motywem związanym niewątpliwie w niedoścignianym często w Europie idealizmem amerykańskim, gra tu rolę i świadomość, że pomoc udzielona krajom o mniejszym stopniu rozwoju w dziedzinie atomowej opłaci się w przyszłości w tej czy innej formie. Stąd ten jak gdyby niepokój prasy amerykańskiej wobec wiadomości, że Japonia pertraktuje o wybudowanie elektrosiłowni atomowej z Anglią.

Jakiejkolwiek jednak by nie były motywy, faktem jest, że z tej polityki amerykańskiej kraje mniej rozwinięte w zakresie prac atomowych odnoszą niewątpliwą korzyść.

Centrum badań atomowych w Genewie. Drugim czynnikiem rozwoju prac atomowych krajów europejskich jest CERN (Comité Européen de Recherches Nucléaires), wspólna atomowa organizacja badawcza szeregu państw Europy zachodniej. Badania atomowe wymagają olbrzymich urządzeń i kosztują tak wiele, że tylko wyjątkowo bogate państwa

stwa mogą sobie na nie pozwolić. Wspólnymi siłami jednak państwa Europy zachodniej zdołały uruchomić centrum badań atomowych w Genewie, dające możliwość swobodnych prac naukowych wszystkim uczonym państw należących do CERN'u. Jest to instytucja, w której państwa wchodzące w jej skład pracować mogą na stopie pełnej równości, a tym samym wyniki ich prac naukowych w zakresie atomowym i osiągnięty poziom zależą jedynie od wartości ich uczonych, a nie od bogactwa czy też wpływów politycznych danego kraju.

Polska, niestety, odciała żelazną kurtyną i zakazem Rosji, nie może ani korzystać z pomocy Stanów Zjednoczonych, ani też uczestniczyć w pracach CERN'u. Nie dziw więc, że w 1955 roku Leopold Infeld dyskretnie skarżył się w prasie (było to jeszcze przed „odwilżą”) na skandaliczny wprost poziom prac atomowych w Polsce.

Istotnie, ten dział był do ostatnich lat w Polsce zupełnie zaniedbany. Nie brakło nam przeciwnych uczonych. W latach przedwojennych mieliśmy takich fizyków, jak Białobrzęski, Pięnkowski, Wolffke i inni, którzy dział ten opanowali doskonale (pamiętam dokładnie odczyt prof. Wolffkego z początkiem 1939 roku, przewidujący bombę atomową) i którzy — zwłaszcza prof. Białobrzęski — wnieśli wien i własne przyczynki. Pomimo strat, wywołanych wojną, siły naukowej w Polsce powojennej są dziś stosunkowo liczne i stoją na nie najgorszym poziomie. A przyjazd dr. Infelda, najbliższego współpracownika Einsteina, powinien — w normalnych warunkach — być bodźcem do tym szybszego postępu prac polskich uczonych w tym zakresie.

Upośledzenie badań atomowych w Polsce. Jednak swoboda pracy fizyków polskich w dziale atomowym była mocno ograniczona, gdyż dla tak ważnych w tym dziale prac doświadczalnych brak im było najniezbędniejszych środków. W czasie, gdy inne kraje szeroko rozwijały naukę o atomie na swoich uniwersytetach, w Polsce zamierała ona całkowicie, sprowadzając się w praktyce jedynie do zakładu fizyki jądrowej prof. Niewodniczańskiego na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Środki materialne na ten cel były minimalne. Dość powiedzieć, że dopiero w połowie 1955 roku zakład ten rozpoczął budowę małego cyklotronu (podstawowego przyrządu do przyspieszania elementarnych cząstek) i zamówił duży cyklotron w Rosji z terminem dostawy w 1957 roku. W tym samym czasie znacznie przecięż od Polski mniejsza Belgia miała już od lat pracujący cyklotron o mocy wielokrotnie większej.

Do połowy 1955 roku polscy uczeni nie mieli do swej dyspozycji żadnych izotopów, tak dziś niezbędnego środka badawczego we wszelkich działach fizyki, chemii, biologii, medycyny, rolnictwa, przemysłu. A jeśli dla leczenia potrzebne były jakieś izotopy — pacjenci w Polsce prosić musieli swych krewnych o ich przesyłkę z Anglii.

Pierwsza zapowiedź — powtarzam zapowiedź — otrzymania izotopów z Rosji przyszła do Polski dopiero w maju 1955 roku, wywołując tak typową dla tego okresu reakcję wiernopoddanej wdzięczności w artykule Muszaliówny w „Zyciu Warszawy” z 7.5.1955. Realizacja tej zapowiedzi przyszła dopiero w niemal rok później, skoro „Trybuna Ludu” pisała dyskretnie w dniu 15.9.1956 że „sprawa użytkowania izotopów zaczyna w ostatnich miesiącach wchodzić na właściwe tory”. A działo się to w czasie, gdy z Anglii np. wysłano w ciągu 1955 roku 7.000 jednostek izotopów do prawie pół setki krajów.

Do prac praktycznych — jeszcze daleko.

Ten stan rzeczy nie uległ praktycznie prawie do końca zeszłego roku. Jak się dowiadujemy ze wspomnianego wyżej artykułu „Trybuna Ludu”, dopiero 11 lipca 1956 roku powołano do życia urząd Pełnomocnika Rządu do Spraw Wykorzystania Energii Jądrowej, a w dniu 18 sierpnia tegoż roku Państwową Radę do Spraw Pokojowego Wykorzystania Energii Jądrowej.

Od tej biurokratycznej nadbudowy do prac praktycznych bardzo jednak daleko, zwłaszcza w ustrojach komunistycznych. Wspomniany artykuł „Trybuna Ludu” przynosi wywiad z pełnomocnikiem rządu, w którym — komunistycznym zwyczajem — wiele mówi się o zamiarach i planach, a bardzo mało o pracach istotnie wykonanych. Wiłocznie nie ma się czym chwalić.

Dowiadujemy się np. o budowie dwu ośrodków badań jądrowych, w Warszawie i Krakowie, obie budowy są jednak „w toku”. Zakończenie prac przewiduje pełnomocnik rządu na rok 1957, podobnie jak oddanie „być może części budowanych laboratoriów do użytku. A jednak rok już przeltem, w 1955 roku, kraje takie jak Belgia, która miała pięć pełną parą pracujących ośrodków prac atomowych, Włochy z siedmiu ośrodkami, Norwegia z trzema, Szwecja z czterema, mogły swobodnie rozwijać swe badania w zakresie fizyki jądrowej. Ba, ośrodki do badań atomowych miały nawet Meksyk, Argentyna, Brazylia, Indie (6 ośrodków). Jedynie Polska — jak i inne kraje pod władaniem moskiewskim — zadawałać musiały się obiecankami-cacankami.

Widać więc, że do końca zeszłego roku rozpoczęcie prac z zakresu fizyki atomowej w Polsce, przy użyciu najniezbędniejszych do tego celu narzędzi, wciąż było tylko na papierze. Uczeń polscy mieli co prawda dostęp — w ograniczonej ilości — do ośrodka badań atomowych **Bolszoja Wołga**, na północ od Moskwy, ale — w przeciwieństwie do CERN'u byli tu jedynie gośćmi, zależnymi całkowicie od dobrej woli rządzących tym ośrodkiem gospodarzy, Rosjan. A znając ich zarządźć naukową i stosunek do podbitych narodów, trudno mieć złudzenia, aby w tych warunkach jakakolwiek samodzielna praca naukowa uczonych polskich była w tym instytucie możliwa.

Dopiero więc pod koniec 1957 roku będą mieli uczeni polscy jaką taką możliwość prowadzenia prac naukowych z zakresu atomowego. Oczywiście, jeśli szumne zapowiedzi pełnomocnika rządu zostaną zrealizowane.

„BIBLIOTEKA POLSKA”

ogłosiła na lipiec 1957 r. subskrypcję książki:

TADEUSZ FELSZTYN

ATOM W SŁUŻBIE LUDZKOŚCI

CENA
W SUBSKRYPCJI:
szyl. 10/-;
dol. 1.50; fr. fr. 500.

„VERITAS”

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

A co do tego można mieć pewne wątpliwości. W tym bowiem wywiadzie zapowiedziano zakończenie budowy stosu atomowego na koniec 1957 roku. Niedawno jednak „Przyjaźń” (2.12.1956) ogłosiła nowy wywiad z pełnomocnikiem rządu, w którym ten oblewa zimną wodą nadzieje na budowę elektrosiłowni atomowej w Polsce. „Z propozycji radzieckiej — mówi — wybudowania w Polsce elektrowni jądrowej już w planie 5-letnim, prawdopodobnie nie skorzystamy, a to dlatego ponieważ w naszych obecnych warunkach elektrownia ta byłaby nieekonomiczna, a sam fakt wybudowania w Polsce elektrowni jądrowej, całkowicie zaprojektowanej i wykonanej przez Zw. Radziecki, w niewielkim tylko stopniu pomógłby nam w realizacji tych celów, jakie sobie stawiamy.”

Cały świat buduje elektrownie atomowe, najbardziej nawet uprzemysłowione kraje, z małymi tylko wyjątkami, rozpoczynają swe prace atomowe od nabycia elektrosiłowni zbudowanej przez obcych, jako pierwszy krok ku budowie elektrosiłowni własnej, a w Polsce ma to być „nieekonomiczne” i „niecelowe!”

Istotny motyw tego zacofania atomowego Polski znajdujemy w innym zdaniu tego samego wywiadu. Oto wedle owego osobliwego pełnomocnika rządu „Polska posiada złoża uranu i je wykorzystuje. Uran ten, którego na razie nie jesteśmy w stanie sami wykorzystać, eksportujemy... do ZSSR”. I „tu jest pies pogrzebany”, jak mówi przysłowie niemieckie.

Główny wysiłek Rosji w dziedzinie atomowej idzie w kierunku bomb atomowych. Jakkolwiek tu i ówdzie, dla celów propagandowych, przeprowadza się i prace pokojowe z zakresu energii atomowej — jak np. uruchomienie elektrosiłowni (nieekonomicznej i technicznie przestarzałej już w momencie jej uruchomienia) w 1955 roku, tym niemniej jednak gros wydobywanego uranu idzie na cele wojenne. A choć niewątpliwie Rosja wykryła już własne źródła złóż uranowych na Kaukazie, na Syberii i w różnych okręgach Rosji Europejskiej, to źródła te nie muszą być bardzo obfite, skoro ZSSR nadal eksploatuje mocno już przecięż wyczerpane półwielkim wydobywaniem — rudy w Jachimowie (Czechy) i w Saksonii. A wydobywa je przy najdalej idącym stosowaniu pracy niewolniczej, przy niczym nie ograniczonym wyzysku i lekceważeniu zdrowia robotnika, pod całkowitą własną administracją, tak że teren wydobywania rud uranu stanowi sowiecką enklawę tak w Czechach, jak i w Saksonii.

To samo już świadczą o stanowczych zamiarach Rosji wykorzystania rud uranowych satelitów dla wyłącznie własnych potrzeb, bez jakiegokolwiek liczenia się z potrzebami podbitych krajów. A tym samym nie leży w jej interesie rozwój prac atomowych tych krajów, gdyż stworzyłoby to potencjalną groźbę konkurencji w wykorzystywaniu istniejących w tych krajach rud uranowych.

Dochodzi do tego i drugi czynnik. Każdy stos atomowy produkuje pluton, materiał bomb atomowych. Pluton ten oczywiście może służyć i jako paliwo atomowe w stosach, ale nic nie może przeszkodzić jego zastosowaniu i do wyrobu bomb. I to niewątpliwie jest — przy znanej podejrzliwości sowieckiej, wzmocnionej jeszcze wypadkami węgierskimi — drugim powodem, dla którego Rosja z taką niechęcią widzi rozwój prac atomowych w krajach satelickich, a zwłaszcza w Polsce.

I tu tkwi źródło tak daleko idącego zacofania Polski w dziedzinie prac atomowych, pomimo iż Polska ma uczonych wysokiej klasy i własne złoża uranowe.

CZEKI BEZ POKRYCIA

Historia pań Woźniakowej z Dagenham

Naprzód prosta, zwyczajna historia. Aleksander Woźniak był polskim pilotem. Przybył do Anglii. Walczył jako pilot-mysliwiec z Niemcami. Po wojnie osiadł w Anglii, dostał pracę inżyniera. Poznał piękną dziewczynę angielską, Beryl, ożenił się. Naprzód przyszedł na świat syn Karol (dziś ma lat siedem), później Krzysztof (lat pięć). Gdy w zeszłym roku pani Woźniakowa spodziewała się dalszego potomstwa i nie bardzo mogła się zajmować domem, wysłano dwóch starszych chłopców na wakacje do dziadków w Polsce, do miejscowości położonej około sto kilometrów od Warszawy.

Na wiosnę pani Beryl powiła dwójczki, powiedziała sobie, że gły je tylko trochę odchow, sprowadzi chłopców. Ale przyszły wypadki poznańskie i o tej chwili matka nie ma spokoju. Chce jechać natychmiast. Wszyscy ją ostrzegają. Nad Polską zbierają się dalsze chmury. Zaczynają się wypadki październikowe. W kilka dni po nich pani Woźniakowa bierze ośmiomiesięczne bliźniaki i siada na statek idący do Polski. Foreign Office ostrzega. Proszę nie ryzykować. Pani może nie wrócić. Na statku ostrzega ją oficer polski, Polska może stanąć lada chwila w płomieniach.

Ale pani Beryl jedzie. „Gdybym miała całe życie być odcięta za żelazną kurtyną, muszę być z dziećmi.” W Polsce jest już po „październiku”, ale jak się okazuje stosunki się nie bardzo na wielu odcinkach zmieniają. Między listopadem a końcem stycznia pani Woźniakowa przeżywa ciężkie przejścia. Po powrocie mówi dziennikarzewi „Daily Mail”. 29. 1. 1957: „Jakkolwiek warunki były bardzo złe (warunki życia codziennego, jedzenie, nędza), niemal wszyscy byli dobrzy dla mnie, z wyjątkiem pewnych urzędników. Gdy udało mi się po pozwolenie wzięcia dzieci z powrotem do Anglii, podarli moje dokumenty, podania i listy, ponieważ były napisane po angielsku. Przeszłam ponownie ze sfalszowanymi dokumentami napisanymi po polsku i w jakiś sposób udało mi się ich podejść. Ale niebezpieczeństwo się zbliżało. Pewnego dnia przyjaciel rodziny o-



strzegł ją: „Uważaj. Sledzą każdy twój krok.” „Tej samej nocy — opowiadała pani Woźniak — zostałam zatrzymana przez oficera, który zadał mi wiele pytań. Nagle wyciągnął rewolwer, włożył naboje i wymierzył we mnie. Prowadził mnie w taki sposób przez pewien czas; w pewnej chwili wbiegłam do kawiarni i przez kuchnię uciekłam tylnymi drzwiami.”

Po wielu przejściach pani Woźniakowa wreszcie zdołała na statek polski idący do Hull razem z całą swoją czwórka i 29 stycznia stanęła na ziemi angielskiej. Oczywiście, historia w naszych czasach dość, niestety, zwykła i nie najtragiczniejsza nawet. Zawiera w sobie jednak problem, jeden z najbardziej hańbiących dla „humanizmu socjalistycznego”, który Sowiety uczyniły jakąś obrzydliwą zasadą. Wojna przyniosła wiele tragedii rodzinnych. Porozdzielała rodziny. W wypadkach rozdzielenia rodzin, komunizm sowiecki przcinał bezlitośnie wszelkie związki, nie pozwalając na wyjazd mężów do żon, dzieci do rodziców. Pamiętne są nieludzkie odmowy wyjazdu kobiet rosyjskich, które w czasie wojny wyszły za mąż za obcokrajowców. Te me-

tody zakazów przejęły również systemy okupacyjne w krajach podbitych, między innymi i w Polsce. Pozwoleni na wyjazd i połączenie się z najbliższą rodziną nie wydawano, a gdy w jakichś wypadkach się to udało, niepomierne uciążliwe starania trwały latami.

Wypadek pani Beryl Woźniakowej w całej swej rozciągłości rozegrał się już po „polskim październiku”, w listopadzie, grudniu i styczniu. Okazuje się, iż barbarzyństwo stosunków „socjalistycznych” poprzedniego okresu wolniej się zmienia, niż jest to reklamowane. Można wszakże przyjąć, iż za krótki był czas na przeprowadzenie reform.

Jeśli wszakże tak jest, sprawom z tego zakresu trzeba nadać największą pilność. W problemy połączenia rodzin trzeba wreszcie wprowadzić pierwiastek ludzki, prawdziwego humanizmu, a nie tylko „socjalistycznego”. Cierpienia ludzkiego jest już i bez tego dość na świecie. I trzeba — na miły Bóg! — coś zrobić na to, aby oficerowie z nowej alternatywy „bezpieki”, czy innej formacji w Polsce przestali prowadzić ludzi po ulicach pod groźbą naładowanego rewolweru!

REPATRIACJA WIDZIANA Z BLISKA

W „Zyciu Gospodarczym” z dnia 20 stycznia br. Józef Mieszkowski przedstawił w obecnym artykule istotny obraz dokonującej się akcji repatriacyjnej, obejmującej repatriację zarówno z Zachodu jak i ze Związku Sowieckiego.

Na wstępie autor stwierdza, że w ciągu ubiegłego roku powróciło do Kraju ogółem ok. 31.000 osób, z czego z państw zachodnich tylko 2.000, zaś około 29.000 ze Związku Sowieckiego. Autor artykułu wylicza, że do tej pory wydano na cele repatriacji z budżetu państwa 73 miliony złotych, a trzeba będzie wydać około 1¼ miliarda, których państwo w dłuższej sytuacji gospodarczej nie posiada.

Położenie powracających przedstawia Mieszkowski jako wręcz tragiczne. Ludzie zahucani, bezradni, zmęczeni, często głodni i obdarci, przybywają stłoczeni do punktów granicznych w Terespolu, Białej Podlaskiej, Medyce i Przemysłu. Tu — jak autor stwierdza — są nadal stłoczeni jak ślepie w beczce, całe rodziny z dziećmi, kobiety razem z mężczyznami spią po obozowemu na piętrowych przyczach...

A w tym samym czasie, mówi Mieszkowski, świecą pustkami specjalnie urządzone luksusowe domy dla repatriantów w Szczecinie i Gdańsku, czekające beznadziejnie na repatriantów z Zachodu...

O co tu chodzi? — pyta Mieszkowski i odpowiada: — o pracę i o mieszkania. Rząd ma

podobno do dyspozycji około 3.000 mieszkań i wielu może zamieszkać „czasowo” u swych rodzin. Autor jest ostrożny i nie chce zdradzić istotnej sytuacji tych krewnych. Musimy go więc wyręczyć stwierdzeniem takich faktów jak ten, że wielu repatriantów po 17 latach „emigracji” w Związku Sowieckim nie odszuka już w Kraju żadnych krewnych; że krewni, jeśli istotnie żyją, zamieszkują dziś sami w niesamowitych warunkach; że krewnym wymierzono w Polsce ludowej przestrzeń mieszkaniową od 4-8 metrów kwadratowych na osobę, tj. 8 metrów dla pracujących a 4 metry dla niepracujących, — dla starych rodziców i wreszcie, że gospodarstwa na ziemiach zachodnich, wolne do objęcia, zostały już dawno gruntownie wyszabrowane.

Mieszkowski ujawnia dalsze szczegóły tragedii tych ludzi. Repatriacyjne punkty starają się pozbyć ich jak najprędzej, by zwolnić miejsce dla tych, którzy jeszcze przybędą. Wcisną im przeto do rąk bilety kolejowe do najdalej oddalonych części Kraju i każą je chać. Repatrianci więc jadą i wygłodzeni szukają pracy w urzędach zatrudnienia. Tu dowiadują się, że pracy nie ma. Otrzymują bilety i jadą dalej, aż wreszcie, po krótkim stosunkowo czasie wracają złamani psychicznie i fizycznie do granicznego punktu repatriacyjnego, przez który przechodzili już kilka tygodni temu — oczywiście nie chcą już dalej.

Zebrali się więc na konferencję: specjalny minister dla repatriacji Zygfryd Sznek, prezes PCK Domańska oraz wiceprezes „Polonii” Hanke, by radzić jak rozwiązać ten problem. Do tej pory — pisze Mieszkowski — pomogli repatriantom tylko studenci, którzy oddali im wszystko co posiadali i mają już tylko do dyspozycji dobre serce...

Jedyną deskę ratunku w tej sytuacji Mieszkowski widzi w Polsce zagranicznej. Stosunek jej do problemu repatriacji byłby — zdaniem Mieszkowskiego — probierzem szczerości postępowania Polonii na Zachodzie, która w ostatnich latach najbardziej przyczyniła się do naświetlenia losu rojaków w Rosji.

Więc tak się sprawy przedstawiają, gdy się je przedstawia bez retuszu propagandowego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Polonia zachodnia pośpieszy z pomocą tym dziesiątkom tysięcy najniezwyklejszych rodaków. Wszak to Polonia zachodnia, a nie ci, co rzęźlili Polskę przez ostatnie 12 lat, poruszała bezustannie sumienie świata, dzięki czemu część Polaków (tylko część!) wraca do Kraju. Ale zachodzi pytanie: jak im pomóc? Nikt za granicą nie zna ani nazwisk tych nieszczęśliwych, ani ich miejsca zamieszkania. Nikt nie wie skąd powrócili, bo ten fakt czynniki oficjalne dotychczas skrupulatnie ukrywają. Nie ulega wątpliwości, że wielu repatriantów ma krewnych na Zachodzie, ale trzeba nazwiska repatriantów ogłaszać, by krewni mogli pośpieszyć im z pomocą. A władze w Polsce muszą bezwzględnie znieść przede wszystkim cło od wszelkich paczek przysyłanych do Kraju, by nie zdzierać z tych nieszczęśliwych ostatnich groszy; muszą repatriantom wypłacać prawdziwą, równowartość przekazanych zza granicy pieniędzy. To chyba zrobić mogą.

Poza tym Polonia zagraniczna nie da pieniędzy komitetowi zarządzanemu przez Szneka, Domańską i Hankego, bo do żadnych takich komitetów nie ma zaufania, wiedząc z doświadczenia, że pieniądze pójdą na opłacanie personelu administracyjnego, w czym dotychczas władze ludowe wykazały mistrzowskie osiągnięcia. Natomiast Polonia zachodnia da i to hojnie, jeśli będzie miała pewność, że pomoc dotrze bez strat do rąk repatriantów.

W. O.

WYBORY

OPINIA „OSSERVATORE ROMANO”

W „Osservatore Romano” z dnia 25 stycznia br. ukazał się artykuł pod tytułem: „Una scelta in Polonia” („Jeden wybór w Polsce”), który podajemy w tłumaczeniu polskim in extenso.

„Wybory polskie, jak wiadomo, wykazały zupełną przewagę Władysława Gomułki i tzw. Frontu Narodowego. Zamiarem komunistów, jak można sądzić z ich prasy, jest wychwalać nowe zwycięstwo „socjalizmu” i, jak zwykle, pomieszać pojęcia. Inni obserwatorzy, chcąc nie chcąc, chętnie przyłączają się do tej konfuzji. Rzeczywistość jednak jest bardzo jasna: wybory nie były wolne, ponieważ Polacy po tragedii węgierskiej wiedzieli dobrze, że zasała o własnym stanowieniu się narodów nie ma znaczenia w systemie komunistycznym, albo lepiej, posiada znaczenie, jeżeli się dostosowuje do woli władców. Kierownicy — sowieccy i warszawscy — zdawali sobie sprawę z tego, że wybory prawdziwie wolne zmiotłyby komunizm; są na to dowody w wypowiedziach Gomułki zaraz po uwolnieniu Kardynała Wyszyńskiego. Sekretarz „robotniczej” partii powiedział, że niektóre swobody religijne, naruszone i zduszone mimo istniejących gwarancji prawnych, zostałyby przywrócone; dodał jednak, że nie można wygrać wyborów bez trudności, lecz jakie byłyby potem skutki tego zwycięstwa? Gomułka dał jasno do zrozumienia, że Związek Sowiecki nie pogodziłby się w żadnym wypadku z upadkiem hegemonii komunizmu w Polsce.

Na Węgrzech druga represja rozpoczęła się właśnie wtedy, kiedy gniew ludu zmiotł miejscową partię komunistyczną i zarysowała się możliwość wolnych wyborów. Propaganda komunistyczna — ale nie tylko komunistyczna — oskarżyła Kardynała Mindszenty'ego właśnie o to, że przyłączył się do woli całego narodu, zażądał wolnych wyborów. Odrodzenie się na Węgrzech parlamentarnego systemu demokratycznego, opartego na rzeczywistości wielości stronnictw, oznaczało dla Moskali i ich madzjarskich służbów wznowienie „reakcji” a nawet „feudalizmu”.

Naród polski więc był wolny w wyborze między „nowym kursem” komunistycznym, opartym przede wszystkim na osobie Gomułki, jego dawnej postawie, osądzonej przez Moskwę jako odchylenie od linii, a komunizmem narzuconym siłą przez wojska sowieckie i narzędzia w rodzaju Kadara, ze zniszczeniem i ruinami po okresie krwawych walk.

Wyborca zatem był wolny jak ktoś, kto stoi pod groźbą wycelowanej broni. A w takich warunkach ograniczył się do jedynego dozwolonego wyboru: Gomułka. Tym wszystkim tłumaczy się postawa katolików. Kardynała Wyszyńskiego uwolniono, jak wiadomo 28 października 1956, po przeszło trzech latach prawdziwego więzienia i całkowitego odosobnienia. Równocześnie uwolniono innych biskupów uwięzionych, internowanych lub w inny sposób pozbawionych możliwości wypełniania swoich obowiązków duszpasterskich. W dramatycznym momencie polskiego życia nowi kierownicy z rezygnacją dostosowali się do rzeczywistości, której ich poprzednicy napróżno starali się nie brać pod uwagę pragnąc ją zniszczyć: po prostu zaapelowali do sumienia katolików, by przeszkodzić krwawemu i tak samo bezskutecznemu powstaniu, zważywszy ogromną dysproporcję sił i „równowagę” międzynarodową. Zażądali więc pomocy postawili minimalne warunki, by katolicy mogli jej udzielić.

Wpływ niektórych czynników na historię ludzką trudno ustalić w cyfrach; bez wątpienia jednak zaważył wpływ katolików, który wzrósł i umocnił się w prześladowaniu. Komuniści oczywiście nie myśleliby o poprawieniu swej polityki ucisku, gdyby taki gest nie wydał się konieczny.

To, co potem zaszło nie jest niczym innym, jak skutkiem tych założeń. Krótko przed wyborami Władze Kościelne ograniczyły się do przypomnienia katolikom obowiązku głosowania; i mimo, iż tendencyjna propaganda usiłuje obecnie przedstawić w fałszywym świetle ich postawę, pewnym jest, że jeżeli z jednej strony pragnęły oszczędzić Narodowi polskiemu żaloby, masakry i ruin, to z drugiej strony pozostały nieugięte, jak tego uczy przeszłość, w obronie wiary katolickiej, Kościoła Bożego, osoby ludzkiej.

Przyszłość zależy od zamiarów komunisty Gomułki i zachowania się wobec niego tych, którzy na podstawie nie wyjawionego prawa podboju uważają się za prawdziwych rządów Polski. W tym wypadku więc nie należy ulegać jakemukolwiek optymizmowi. Trzeba uważnie śledzić wypadki polskie z tą pewnością, że katolicy zawsze pozostaną wierni samym sobie, swojej przeszłości, Kościołowi i Namiestnikowi Chrystusa. Bronić będą dalej sprawy Bożej ze spokojną wytrwałością, która prześladowanie umocniło i uczyniło jeszcze bardziej świadomą.

F. A.”

N I E M C Y

NAJWYŻSZY PRZEŁOŻONY

„Als euch Oberster Vorgesetzter”, czyli jako „wasz najwyższy przełożony”, powitał Franciszek Józef Strauss zgromadzenie czterdziestu generałów, admirałów i innych dostojników niemieckich na pierwszym raporcie ministerstwa obrony narodowej Niemiec zachodnich. Strauss objął to ministerstwo po upadku ministra Blanka. Blank musiał ustąpić z dwóch względów: naraził się CSP (Christlich-Soziale Partei), w której Strauss grał pierwsze skrzypce, oraz dlatego, że stracił zaufanie NATO, jak to raportował z Paryża przedstawiciel Niemiec zachodnich przy NATO. zresztą — przyjaciel Straussa.

Kto to taki ów Franciszek Józef Strauss, nowa, szybko wschodząca gwiazda na polu polityki wewnętrznej Bonn? Istnieje stare sztabackie wyrażenie, używane dla określenia tych, którzy za wszelką cenę chcą iść wyżej. Jest ono także pochodzenia niemieckiego: „sztreber”. Strauss jest typowym sztreberem, lecz niewątpliwie sztreberem nie tylko z „sitzfleischem”, lecz sztreberem świetnym mówcą, sztreberem zdolnym, w dodatku zręcznym, popularnym politykiem. Zewnętrznie jest obrazem tego Niemca, lubiącego piwo, o dobroduszej twarzy i prostym języku.

Zaczął zaś zdecydowanie od niczego. Jako syn rzeźnika. Ojciec jego miał sklep masarski na jednej z bocznych ulic Monachium. W tym to sklepie rozpoczął Franciszek Józef Strauss swoją karierę. Po ukończeniu szkoły powszechnej poszedł do szkoły średniej, lecz nauczyciele tego Realschule (coś w rodzaju realnego gimnazjum, z którego nie ma przejścia na studia uniwersyteckie) poznali się na zdolnościach chłopca i nakłonili ojca, by przeniósł go do gimnazjum klasycznego. Mieli rację, gdyż Franciszek Józef skończył gimnazjum jako prymus, zaś egzamin matu-



Niemcy zachodnie: Strauss obok pierwszego (po wojnie) „Dorniera” wojennego

ralny zdał z najwyższą notą, jaką potrafił uzyskać tylko jeden uczeń w ciągu poprzednich lat dziesięciu. Studia wyższe robił już w okresie hitlerowskim. Studiował historię, filozofię i jak twierdził — dla niezależnienia się, od stanowisk rządowych w Trzeciej Rzeszy — także i ekonomię. Jego stosunku do Hitlera nie da się wyraźnie określić, prawdopodobnie był... czysto niemiecki. A jak wiadomo, w okresie hitlerowskim w Niemczech nie było innych Niemców jak tylko hitlerowcy, gdy po upadku Hitlera nie było Niemca, który by nie był antyhitlerowcem.

Przynależność Straussa do CSP, wypływała

zdać się z kalkulacji. W okresie powojennym była to (jak i jest) najbardziej wpływową partią w Bonn, w dodatku najpopularniejsza w dolach niemieckich, zwłaszcza w rodzinnej Bawarii. Strauss zaś jest typowym Bawarczykiem, zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. „Feste draufschiessen” jest cenionym przez Bawarczyków przysłowiem, stale wprowadzanym w czyn, zwłaszcza przy piwopijstwach sobotnio-niedzielnich. Wydaje się, że przysłowie to Strauss zapisał sobie głęboko w sercu, co więcej, że dodał do niego własny komentarz, tj. do „bij mocno” dorzucił „i mądrze”. Strauss uderza mocno w przeciwnika, lecz będąc przebiegłym, uderza mocno w przeciwnika już osłabionego, jak to się nieraz obserwoowało w jego mniejszych czy większych rozgrywkach partyjnych. Z pewnych wynurzeń „Der Spiegel” można by wywnioskować, że miał zwolenników i opiekunów nie tylko w swojej partii, lecz także i w ciężkim przemyśle niemieckim. Rzecz interesująca, gdyż wyraża się to zawsze nie tylko w moralnym poparciu.

Na wojnie dosłużył się stopnia porucznika. Był na froncie rosyjskim. Po wojnie dzięki poparciu partii — dotarł szybko do rangi i funkcji ministra. Kiedy po raz pierwszy, jako kandydatowi na ministra z CSP, Adenauer ofiarował mu tękę ministra komunikacji, Strauss odmówił. Zadawolił się znacznie skromniejszą tęką: właśnie ministra bez teki. Jego kalkulacja była prosta: minister komunikacji musi zajmować się komunikacją, niczym zaś innymi. Minister bez teki może zajmować się — czym tylko dusza zapagnie. Zaś dusza Straussa ciągnęła go w kierunku ministerstwa obrony. Z miejsca więc zaczął bombardować Adenauera referatami na temat organizacji wojska oraz na każdym posiedzeniu, czy przy każdej sposobności, krytykował posunięcia Blanka, kolegi w gabinecie.

Czy były między nim a Blankiem jakieś większe różnice w poglądach na sprawy militarne i organizację odradzającej się niemieckiej armii? Nie wydaje się: Blank był niewątpliwie szczerym zwolennikiem NATO i Strauss jest nim także, przynajmniej w słowie.



Niemcy wschodnie: komunistyczna młodzież maszeruje w zbrojnych szeregach.

Ś. P.

STANISŁAWA ze Studzińskich KISIELEWSKA

zmarła w Panu dnia 31 stycznia 1957 roku w Poznaniu, przeżywszy lat 79.

Msza święta żałobna za spójność duszy Zmarłej odbędzie się w dniu 20 lutego 1957 r., w kościele Brompton Oratory o godzinie 9, o czym, prosząc o modlitwę, zawiadamiają pogrążeni w żałobie

synowie, córki i rodzina

W sprawach odbudowy wojska niemieckiego w ramach NATO różnice między nimi znaczą się jedynie w szczegółach, a może tylko w samych określeniach. Niemiecki język jest ogromnie giętki w sferze określeń i to samo można nazwać albo w sposób mniej lub bardziej zawyży i mgławki, albo mniej lub bardziej prosto z mostu. I tak „Landesverteidigung”, „Landeswehr”, „Bundeswehr” czy „Bodenschutz” — to właściwie zupełnie jedno i to samo. Jeżeli jednak ktoś chce, może upierać się przy wyrazach.

Nie będziemy tu wchodzić w subtelne szczegóły spraw, które Strauss krytykował, gdy Blank był na czele, a które wysuwa potem jako swoje własne wynalazki po objęciu stanowiska tegoż Blanka, a które w gruncie rzeczy istniały tylko pod inną nazwą już i za Blanka, czy w planach Blanka.

Tak! Blank był zwolennikiem armii ochotniczej, gdy Strauss głosi formułę przymusowej służby wojskowej. Jednak podobno kiedyś w bardzo zaufanym gronie powiedział: „Myślę jednak, że najlepiej będzie oprzeć się na ochotniku (w armii oczywiście), wtedy będziemy wiedzieli na czym stoimy. Należy przeprowadzić obowiązkową służbę wojskową, lecz powoła się tylko ochotników, byłych zawodowców. Ci właśnie będą odbywać przymusową służbę wojskową jako rezerwistów. W ten sposób wrażenie optyczne będzie lepsze...” („Gut for die Optic”).

Uznaje konieczność stworzenia pięćset-tysięcznej armii, obiecaną NATO, lecz w planach swych przesuwa termin osiągnięcia tej liczby daleko poza Blanka. Może najbardziej istotną różnicą między nim a Blankiem jest uzbrojenie. Blank był zwolennikiem uzbrojenia tradycyjnego, gdy Strauss stoi na stanowisku broni najbardziej nowoczesnej, włączając w to połowę broni atomowej.

Patrząc tedy z boku na zmiany personalne w ministerstwie obrony narodowej w Bonn, nie można oprzeć się wrażeniu, że w przeformowaniu Straussa na ministra obrony narodowej kryje się coś więcej niż szukanie lepszych rozwiązań w dziedzinie administracyjno-technicznej. Kto wie, czy ważniejsza przyczyna tej nominacji nie leży głębiej. Pamiętamy, że wiek Adenauera zmusza do przygotowania odpowiedniego następcy...

W Niemczech zaś najlepszą klasyfikacją na dobrą karierę polityczną jest wojsko. Tytuł „Der Oberste Befehlshaber”, czy „Der Oberste Vorgesetzter”, był tam przez tyle stuleci związany z najwyższą osobą w państwie.

M. Lis.

REWIZJONIZM

Czasopismo uchodźców i wysiedleńców niemieckich „Die Vertriebenen-Korrespondenz” daje wyraz obawie, że w ciągu roku bieżącego Niemiecka Republika Związkowa będzie przedmiotem „całkiem poważnego” nacisku ze strony Zachodu w kierunku uznania linii Odra-Nysa jako ostatecznej granicy polsko-niemieckiej. Zachód — twierdzi „Korrespondenz” — przykładą wagę do tego, by Niemiecka Republika Związkowa „oczyszczała” swe stosunki z nową Polską i poparła w ten sposób reżym Gomułki.

Organ „wypędzonych” charakteryzuje obecny stan poglądów na kwestię granicy Odra-Nysa w świecie zachodnim i rekapitułuje go w następujący sposób:

„Opinia światowa Zachodu w swej wyrażonej przeważającej większości widziałaby w każdym razie najchętniej, gdyby Niemcy uznały fakty dokonane nad Odrą i Nysą, ponieważ przez to najłatwiej uzyskać by można wydobycie Polski z bloku wschodnie-

go. Owe mocarstwa zachodnie nie uważałyby za nic złego, gdyby uznanie to nastąpiło przy drobnych korektach istniejącej linii, dotyczących, powiedzmy, wydania Szczecina albo ustąpienia pasa na wschód od Nysy”.

Redakcja „Korrespondenz” zastrzega się, że ta rekapitulacja poglądów Zachodu nie pochodzi od niej, ale zdaniem hamburskiej „Die Welt” nie jest ona sprzeczna z wyobrażeniami panującymi w samym „Bund der Vertriebenen Deutschen”. Doniesienie zawiera wyraźny balon próbny na temat „drobnych korektur granicznych”. Inny balon próbny znajdujemy w dalszej części artykułu „Korrespondenz”. Czytamy tam:

„Rok 1957 będzie okresem cichego, zaciętego zmagania się często ze sprzymierzeńcami zachodnimi, przede wszystkim w Waszyngtonie. Sami wypędzeni będą musieli tu stać w pierwszych szeregach. Co się tyczy północnej części Prus Wschodnich (tj. obszaru Królewieca — przyp. „Zycia”) to warunki przedstawiają się wyraźnie inaczej. Zarysowują się tu w inny sposób pewne realne szanse. Jeśli chodzi o Kraj Sudecki to położenie jest bardzo podobne do sytuacji odnośnie południowej części Prus Wschodnich, Pomeranii, Brandenburgii wschodniej i Śląska”.

Na jakich przesłankach (być może żadnych) oparta jest aluzja autora artykułu w „Korrespondenz” na temat większych jakoby szans odzyskania przez Niemcy sowieckiej części Prus Wschodnich — trudno dobiec.

Ostatnio czynniki niemieckie podchwyciły głos jednego z mało znanych czasopism warszawskich, „Kontrasty”. Oto jakie doniesienie, datowane z Bonn, siedziby rządu Niemieckiej Republiki Związkowej, przyniosła agencja United Press:

„Urząd spraw zagranicznych (Auswärtiges Amt) rozpoczął badanie artykułu w polskim czasopiśmie, w którym zapowiedziana była elastyczniejsza polityka wobec Niemiec w razie rozwijania sprawy Wilna i Lwowa. Urząd spraw zagranicznych stwierdził obecnie, w jakim stopniu artykuł w czasopiśmie warszawskim „Kontrasty” — piśmie młodej inteligencji polskiej — opiera się na poglądach oficjalnych lub też był oficjalnie inspirowany.

„W kołach wydziału wschodniego urzędu spraw zagranicznych już od dłuższego czasu reprezentowano pogląd, podzielany także przez ministra Brentano, że Polska ma nie tylko zagadnienie granic zachodnich, ale także granic wschodnich. Polska musiała po wojnie odstąpić Związkowi Radzieckiemu obszary Lwowa i Wilna i za to została „odszkodowana” niemieckimi obszarami na zachodzie. Uregulowanie sprawy Wilna i Lwowa, zdaniem tych niemieckich ekspertów, sprzyjałoby więc załatwianiu sprawy wschodniej Odry i Nysy na zachodzie. Na to właśnie wskazywały „Kontrasty” w artykule, który zwrócił dużo uwagi i został teraz przedłożony także ministrowi spraw zagranicznych”.

Tyle doniesienie United Press, pochodzące jak wyraźnie z tekstu wynika, wprost od Auswärtiges Amt. Nie wiemy, jakie wyniki dały wspomniane w nim badania w sprawie artykułu w „Kontrastach”. W każdym razie należy podkreślić: naród polski w żadnym razie nie traktuje przyłączenia do Polski Ziemi Odzyskanych jako „odszkodowania” za wydarte mu gwałtem ziemie wschodnie, których się nigdy nie wyrzekł. Powrót Ziemi Odzyskanych Polacy — nie mówiąc już o innych tytułach — traktują jako odszkodowanie za straszliwe spustoszenia, i w załudnieniu i materiale, jakie najazd niemiecki wyrządził w latach 1939 — 1945 w Polsce.

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE

WYDALENIE „GOŁĘBICY”

Rząd austriacki wydalili z terytorium Austrii centralne władze komunistycznej Rady Pokoju, której siedzibą był Wiedeń od r. 1954.

Powodem wydalenia działaczy spod znaku picassowskiego gołębia jest, według oświadczenia rządowego ich „...mieszanie się w sprawy wewnętrzne krajów, z którymi Austrię pozostaje w dobrych i przyjaznych stosunkach. Działalność międzynarodowa sekretariatu, którego członkowie są w większości cudzoziemcami, godzi w interesy państwa austriackiego...” — „Pokojowcy” dostali więc po nosie, ku oburzeniu całego bloku sowieckiego.

Za Alpami, aktywny niegdyś włoski „pokojowiec”, Nenni, długoletni sprzymierzeniec Sowieców i komunizmu, zadał cios frontowi „czerwonej dywersji” zrywając więzy, jakie łączyły jego stronnictwo socjalistyczne z komunistami. Konwencja potępiła „realny socjalizm” Rosji Sowieckiej i represje na Węgrzech.

ADEN — JEMEN

Na Środkowym Wschodzie zapala się nowy konflikt. Incydenty na pograniczu brytyjskiego protektoratu Adenu i królestwa Jemenu przybierają na sile. Samoloty brytyjskie interweniuja w potyczkach oddziałów brytyjskich z wojskiem jemeńskim i bandami, które przekroczyły granice protektoratu.

Jemen, po stu latach, zgłasza pretensje do terytorium Adenu, do protektoratu i do kolonii brytyjskiej (port Aden), choć — jak się okazuje — większość mieszkańców „wyzwolenia” nie pragnie. Są jednak uchodźcy, są skargi na ucisk brytyjski, jest broń pochodzenia czeskiego i sowieckiego. Są „goście” z Rosji i państw satelickich, jak w Egipcie u Nassera, którego zaczepna postawa wobec mocarstw zachodnich zagrzewa Jemen do agresywnej polityki.

Imam Ahmed, król-kapłan, który ma na sumieniu (zgodnie z tradycją rodzinną) wielu krewnych konkurentów do tronu wygnany lub zgładzony, próbuje wykorzystać konflikt Wschodu z Zachodem. Brytyjczyków chce usunąć z Adenu. Spodziewa się amerykańskiej pomocy ekonomicznej. Komunizm się wprowadził boi i tępi go u siebie, ale broń sowiecką przyjmuje. Tyranijski rząd wyzyskuje ubogą i pracowitą ludność.

WOJNA W KASZMIRZE?

Nędzne lepianki Muzaffarabadu, stolicy „wolnego” Kaszmiru, charakteryzują ubóstwo mieszkańców skalistego kraju, któremu grozi ponownie wojna. Rząd prezydenta Sardara Abdula Kajum Chana, działający pod opieką pakistańskiego ministerstwa dla spraw Kaszmiru, jest zatroskany naprężoną sytuacją w następstwie aneksji wschodniego Kaszmiru przez Indie. Bitna ludność gotowa jest odrębnie walczyć o prawo samostanowienia, wolność wyznania i zjednoczenia ojczystyn. W zachodnim „wolnym” Kaszmirze znajdują się tysiące uchodźców, zbiegłych przed przesładowaniami Hindusów. Pogłoski o pogromach mahometan w anektowanym Kaszmirze i w Indiach podniecają nastroje. Kaszmir — to kraj żołnierzy; górskie plemiona rwą się do walki.

Rząd Pakistanu wpływa uspokajająco, ale butne oświadczenie Nehru, że nie dopuści oddziałów ONZ oraz zapowiedź wyborów pod

naciskiem dywizji hinduskich, w okupowanym Kaszmirze wzmagają oburzenie.

Narody Zjednoczone są znowu wystawione na ciężką próbę.

Ambicje terytorialne Indii prowadzą do starcia, którego ofiarą palnie ludność od lat żyjąca pod uciskiem obcego sobie politycznym i religijnym państwa. Wojna w Kaszmirze wywoła krwawe walki religijne na całym kontynencie Indii.

Nehru nalegał niedawno na Anglię, by przyjęła decyzję ONZ w sprawie Egiptu. Powinien dziś tę radę sobie przypomnieć i przyjąć decyzję przeprowadzenia w Kaszmirze plebiscytu pod kontrolą Narodów Zjednoczonych.

NIEMCY NA ROZDROŻU

Polityka zachodnio-niemiecka, w swoim zrozumiałym dążeniu do zjednoczenia Niemiec, waha się w koncepcjach jak ustawić Niemcy w konflikcie Wschód-Zachód.

Wystąpienie ministra spraw zagranicznych von Brentano w Bundestagu podkreśliło znaczenie „przymierza zachodniego” i przeciwstawiło się tendencjom zbyt elastycznej gry z blokiem sowieckim. Wolność, sprawiedliwość i bezpieczeństwo — to cele, które wytyczają granice. Niemcy ich nie przekroczą w ustępstwach na drodze do zjednoczenia.

„...Głosy — powiedział Brentano — które nawiązują Niemcy do odważnych decyzji, do inicjatywy i do uwolnienia się z pęt tzw. polityki bloków mocarstw, by prowadzić swoją własną politykę niezależną... te głosy są nierozważne. Są one w niezgodzie z rzeczywistością i pójdzie za nimi przyniosłoby śmiertelne niebezpieczeństwo narodowi niemieckiemu...” Niemcy witają z radością objawy wzmocnienia „przymierza zachodniego”, w „doktrynie Eisenhowera” widzą możliwość rozwiązania kryzysu na Środkowym Wschodzie. Niemcy będą uzganiać swoją politykę ze sprzymierzeńcami.”

Ollenauer w imieniu socjalistycznej opozycji mówił o „idealnym” europejskim systemie bezpieczeństwa zbiorowego, które byłoby gwarantowane równocześnie przez Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Nie wskazał jak do tego doprowadzić. Jego tezy o współpracy „czterech mocarstw” tchną „duchem Genewy”. Zważywszy na zagrożenie sowieckie, bardziej realistycznie brzmiała zgoda ze strony socjalistów na udział Niemiec w dozbieraniu i planach obrony Zachodu.

Sprawa polskiej granicy zachodniej wylęgła w tych debatach. Minister von Brentano oświadczył, że Niemcy nie mogą uznać granicy na Odrze i Nysie, ale „sprawa ta nie może być załatwiona przy użyciu siły...” Takie stanowisko nie wystarczy.

Niemcy powinnyby wreszcie stanąć odważnie na gruncie nową rzeczywistości, zorientować swoją politykę na tory jutrzejszego europejskiego ładu i uznać ostatecznie tę granicę, która oznacza likwidację antyeuropejskiej, rozbiórkowej polityki pruskiej.

Tylko wtedy znajdzie się podstawa do nawiązania przyjaznych stosunków polsko-niemieckich, o które Bonn zabiega, szukając kontaktów z Polakami w wolnym świecie i z nowym rządem w Polsce.

Współpraca ekonomiczna może być obustronnie korzystna, ale niech się Niemcy nie łudzą, że ofiarowanie, za pośrednictwem misji handlowej, pomocy gospodarczej może w jakiegokolwiek mierze zmienić stanowisko polskie co do nienaruszalności granicy Odry i Nysy.



Uciekinierzy z kontrolowanego przez Indie Kaszmiru udają się do Pakistanu.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

30 stycznia —

* DEKLARACJA prezydenta Eisenhowera została zatwierdzona przez Izbę Reprezentantów 355 głosami przeciwko 61. Dyskusja w Senacie trwa nadal.

* KRÓL Arabii Saudyjskiej przybył do Waszyngtonu, witany ze szczególnymi względami przez prezydenta Eisenhowera.

31 stycznia —

* BRENTANO oświadczył, że podstawą polityki zagranicznej Niemiec zachodnich jest działanie skoordynowane z sojusznikami zachodnimi. Sprawa granicy na Odrze i Nysie nie może być rozwiązywana siłą, ani nawet groźbą jej użycia.

* OLLENHAUER zażądał rewizji paktu NATO tak, by Niemcy zachodnie mogły z niego wystąpić, gdyby było to konieczne dla ich zjednoczenia.

1 lutego —

* W ADENIE, brytyjskim protektoracie, trwają utarczki z wojskami Jemenu.

* W BELGRADZIE oświadczone, że nie nastąpi obecnie wizyta Tity w Stanach Zjednoczonych.

* NA WĘGRZACH zwolniono z więzienia czterech brytyjskich studentów; rozpoczęto rozmowy gospodarcze z W. Brytanią i kilku innymi krajami Zachodu.

* ILOŚC uchodźców węgierskich w Jugosławii przekroczyła 15 tysięcy osób.

* DEKLARACJA, ogłoszona przez Związek Sowiecki, oskarża Stany Zjednoczone o rzekome uniemożliwienie rokowań rozbrojeniowych.

2 lutego —

* SANDYS, brytyjski min. obrony, zakończył pomyślnie rozmowy w Stanach Zjed-

noczonych w sprawie redukcji brytyjskich sił zbrojnych i uzyskanie amerykańskich pocisków kierowanych.

* RZĄD brytyjski ogłosił, że nie nastąpi planowana dawniej na maj wizyta premiera brytyjskiego w Moskwie.

* W BUDAPESZCIE powieszono 2 osoby (w tym 20-letnią dziewczynę) za udział w ruchu niepodległościowym. Dymisjonowano 10 sędziów sądu najwyższego.

* INDIE zamówiły w Wielkiej Brytanii 68 lekkich bombowców „Canberra”, jakkolwiek Związek Sowiecki oferował swe IL-28 za jedną czwartą ceny brytyjskiej.

3 lutego —

* NA CYPRZE miały miejsce starcia między ludnością grecką a turecką.

* PREMIER Finlandii opuścił Moskwę po 4-dniowym pobycie.

* ZGROMADZENIE N. Z. uchwaliło 74 głosami (przeciw 2) szóstą z rzędu rezolucję domagającą się ewakuacji wojsk Izraela z Egiptu, oraz 56 głosami (przy 22 powstrzymanych się) o użyciu wojsk Narodów Zjednoczonych na linii egipsko-izraelskiego rozjemstwa z 1949 roku; rezolucja nie wspomina wyraźnie o zatoce Akaba.

* KADAR ogłosił wykluczenie z partii z jednej strony Rakosi'ego i Gere, z drugiej zaś — Nagy'ego i Losonczy. Rozpoczęto aresztowania wśród studentów.

* W AMMAN rozpoczęły się rokowania w sprawie zakończenia układu łączącego Jordanię z Wielką Brytanią od 1948 roku.

* W BRUKSELI ministrowie: Francji, Niemiec zach., Włoch i trzech państw Beneluxu poczynili dalsze postępy w uzgadnianiu planów przyszłej unii celnej i wspólnoty atomowej; podpisanie układu ma nastąpić 10 marca br.

SPRAWY GOSPODARCZE

POLSKIE STOCZNIE I POLSKA FLOTA HANDLOWA

W ostatnich dniach stycznia bież. roku została zakończona budowa kadłuba nowego, a czwartego już z kolei, statku o 10.000 ton wyporności. Zdjęcie nasze przedstawia ostatnią fazę jego budowy w stoczni gdańskiej. Równocześnie zapadła decyzja o pozostawieniu wybudowanego statku na użytek polskiej floty handlowej. Ma on rozpocząć swe morskie rejsy pod koniec bieżącego roku.

Założa stoczni gdańskiej na wiadomość, że statek ten będzie pływał pod polską banderą, zaproponowała, by mu dać nazwę „Kapitan Kosko”. Kapitan Kosko był jednym z obrońców polskiego wybrzeża w 1939 roku i zginął na morzu w pobliżu Helu dowodząc statkiem-bazą Polskiej Marynarki Wojennej. Przed wojną był dyrektorem Szkoły Morskiej w Gdyni. Kapitanem nowego statku ma zostać kpt. Bolesław Miksza, który w ostatnich latach pozbawiony był prawa pływania na morzu.

Nowy statek jest już czwartym z kolei — jak wspomnieliśmy — (pierwszym był „Marceli Nowotko”) 10.000 tonowcem wybudowanym przez polskie stocznie. Jest to niemałe osiągnięcie dla tej nowej gałęzi przemysłu polskiego, który borykać się musi z dużymi trudnościami. W chwili obecnej istnieją plany wybudowania w ciągu jednego roku ponad 100.000 ton. Zadanie to raczej ciężkie, gdyż w Polsce stale daje się odczuwać brak odpowiednich fachowców, brak stali, brak dewiz na zakup rozmaitych maszyn i urządzeń, których polski przemysł nie może własnymi siłami wykonać.

Decyzja pozostawienia w Polsce nowego statku została przyjęta z dużym zadowoleniem przez społeczeństwo polskie. Sprzeda-

wanie nowowybudowanych jednostek praktykowane dotychczas często wytłumaczyć tylko można naciskiem politycznym, gdyż powoływanie się na to, iż konieczność sprzedaży wpływa na potrzeb zdobycia dewiz nie jest usprawiedliwione. Statki polskiej floty handlowej potrafiły bowiem w ciągu jednego roku (1955) wygospodarować na wyższą dewizową równającą się jednej trzeciej ich wartości. Statek oceaniczny w ciągu 30-letniej eksploatacji zarabia na czysto sumę przewyższającą ośmiu- a nawet dziesięciokrotnie jego cenę.

Jest jeszcze inny względ zasadniczy przemawiający przeciw sprzedawaniu wybudowanych w polskich stocznicach statków innym państwom. Jest nim mianowicie zły stan polskiej floty. Flota handlowa posiadająca obecnie 330.000 ton ma około 40% statków liczących ponad 20 lat. Technicznie jest ona również w nie najlepszym stanie, gdyż tylko 40% statków jest pędzonych ropą; nie jest to też flota szybka: przeciętnie jej statki oceaniczne robią tylko 11 węzłów na godzinę.

Na trzeci wreszcie paradoks gospodarczy, powstający przy sprzedaży polskich statków obcym wskazuje fakt nie wykorzystywanych możliwości zarobkowania. W 1955 roku do kieszeni zagranicznych armatorów poszło 140 milionów dolarów za przewozy ładunków do polskich portów i z polskich portów w świat. Udział polskiej floty handlowej wynosił tylko 15% a jeszcze niższy procent (12%) przypadł jej we frachtach płaconych za przewóz ładunków tranzytowych.

Decyzja przekazania nowego statku polskiej flocie handlowej jest więc pod każdym względem słuszną. Jest to przede wszystkim poważny nabytek dla niezbyt wielkiej floty (przypomnieć wypada, że w roku 1939 posiadaliśmy tylko 6 statków o wyporności ponad 3.000 ton). Nowy statek przyczyni się również do zmodernizowania floty, która w ostatnich latach była tak źle gospodarowaną, że podobno na naradzie marynarzy w Gdyni, w dniu 4 listopada ubiegłego roku, ustę-

pującemu ministrowi żegluga M. Popielowi jeden z kapitanów podziękował za to, że nie udało mu się „położyć” całkowicie polskiej floty i zwolnić jej wszystkich marynarzy. Powiększenie naszej floty da również powiększenie zapasu naszych dewiz.

Trzeba podkreślić, że przed polską flotą handlową stoją właściwie nieograniczone możliwości. Gdyby stan jej powiększył się nawet dziesięciokrotnie, miałaby ona jeszcze zapewnione możliwości usług, które jak wiadomo są najrentowniejszym przedmiotem handlu. To samo dotyczy i polskich stoczni, gdyż popyt na nowe jednostki morskie stale wzrasta. Jedną rzeczą jest jednak konieczna: polskie stocznie najpierw muszą zaspokoić potrzeby własnej floty a nadwyżka dopiero może być sprzedawana.

NIEWYSTARCZAJĄCE SUBSYDIA

British Council, który za granicą reprezentuje osiągnięcia brytyjskie na polu muzycznym, sztuk pięknych i dramatu, na jednej z konferencji prasowych zwrócił uwagę na niewystarczające subsydia państwowe. Dotychczasowy budżet British Council wynosił tylko £ 59.590, a minimum powinno stanowić przynajmniej £ 115.000. Przewodniczący doradczego komitetu sir Paul Sinker zwrócił uwagę opinii brytyjskiej, że Anglia — w stosunku do innych państw — subsydiuje ten cel bardzo skromnie. Mała Austria na wyjazd orkiestry filharmonii wiedeńskiej do Stanów Zjednoczonych przeznaczyła £ 20.000, Jugosławia £ 59.000 na wyjazd zespołów dramatycznych i muzycznych.

Konieczność zwiększenia subsydiów jest połączona z planami British Council. W najbliższych trzech latach przewiduje się wyjazd zespołu dramatycznego ze sztukami Szekspira do Turcji i południowo-wschodniej Europy. Zespoły dramatyczne mają udać się do Skandynawii i Polski, Sadlers Wells balet do Wiednia i Jugosławii, mniejsze zespoły dramatyczne ze sztukami Szekspira do Indii i Burmy. Zespoły orkiestr i chórów projektują wyjazdy do Hiszpanii, Portugalii, Grecji i Jugosławii oraz do krajów zachodniej Europy. Tymczasem wielu zaproszeń na występy nie można przyjąć z powodu braku funduszy. Cierpi na tym nie tylko prestiż Wielkiej Brytanii, ale również i propaganda brytyjskiej kultury wśród obcych.

ZATRUDNIENIE PO STUDIACH

Na półkach księgarskich w Anglii ukazała się ciekawa książka, którą można uważać za półoficjalny raport rządowy pt. „Graduate Employment”. Political and Economic Planning. (Wydawca Allen and Unwin, cena 30 szyl.) Opracowano ją pod auspicjami Political and Economic Planning, a dotyczy ona zatrudnienia młodzieży po ukończeniu studiów w Wielkiej Brytanii. Studia w tym kraju kończy rocznie na uniwersytetach 20.000 osób; z tego 30% udaje się do przemysłu, prawie 25% poświęca się nauczaniu w szkołach, 9% idzie do służby państwowej i prawie taka sama ilość do handlu. Najciekawsze, że do handlu udają się byli studenci Oksfordu i Cambridge, a największy procent zatrudnionych w służbie państwowej pochodzi z uniwersytetu londyńskiego. Przeciętna pensja roczna wynosiła w 1954 roku £ 678, jednak 25% zarabiała ponad £ 800, ale równocześnie zarobki drugich 25% wynosiły poniżej £ 600. Do tej grupy należeli nauczyciele, urzędnicy państwowi i samorządowi, zaś najgorzej uposażeni byli duchowni.

MEDYCYNA

SYNTETYCZNE ANTYBIOTYKI

Przemawiając w tych dniach na posiedzeniu towarzystwa przyrodniczego w Saarbrücken laureat Nobla prof. Chain oświadczył, że w niedługim już czasie penicylina i inne antybiotyki będą mogły być wytwarzane w całości drogą syntetyczną. Do tej pory penicylina uzyskiwana była tylko drogą biologiczną.

Prof. Chain pochodzi z Berlina; wyemigrował on w roku 1933 do Wielkiej Brytanii, a obecnie jest kierownikiem Międzynarodowego Ośrodka Badań w zakresie Mikrobiologii Chemicznej w Rzymie.

Z OSIĄGNIĘĆ GERONTOLOGII

Kiedy człowiek leciwy
jest naprawdę stary?

To pytanie stawia się często lekarzom, gdy chodzi o orzeczenie, czy pracownik umysłowy lub fizyczny, który dajmy na to skończył lat 65, nadaje się jeszcze do tego, aby mógł nadal odpowiedzialnie spełniać swe obowiązki na stanowisku, jakie w fabryce czy biurze zajmuje.

Co radzi medycyna przemysłowa? Oczywiście, nie można tu pojąć żadnej ogólnej dolnej granicy wieku, od której zaczyna się „właściwa” starość. Z punktu widzenia np. przydatności w przemyśle może ktoś okazywać objawy starości w wieku lat 40, a ktoś inny mający lat 75 może pracować jeszcze bardzo wydajnie. Wybitny znawca tego zagadnienia, profesor medycyny przemysłowej, dr A. Meiklejohn z Glasgow wyraża pogląd, że zasadniczo należy pracownika, który nie wykazuje poważnych objawów starości w swej pracy przenieść na emeryturę dopiero wtedy, gdy sam tego zażąda, a nie usuwać ludzi potrzebnych i pożytecznych tylko dlatego, że przekroczyli jakąś granicę wieku. Zresztą proponuje on, aby w ogóle skrócić tydzień pracy do 4 dni, wcześniej zwalniać robotników starzejących się, a granicę wieku uprawniającego do emerytury obniżyć.

Gdy narody starzeją się. Na ostatnim kongresie terapii w Karlsruhe, odbyłym we wrześniu br., omawiano na osobnej sekcji zagadnienia związane z problemami starzenia się, którymi dziś zajmuje się osobny dział nauki medycznej, z grecka zwany gerontologią. Sprawa ta jest o tyle aktualna, że niektóre narody mocno starzeją się, to znaczy, że starcy stanowią coraz większy odsetek ich ludności. I tak np. w Niemczech w r. 1960 co czwarty człowiek będzie miał ponad 60, a co piąty ponad 65 lat, a więc sprawa utrzymania w stanie dla społeczeństwa produktywnym tych starzejących się ludzi jest nie bez znaczenia.

Procesy starzenia się mogą występować u poszczególnych ludzi dość wcześnie jako skutki przebytych chorób a zwłaszcza chorób chronicznych. Nie muszą one jednak koniecznym wypływać na zawodowe upośledzenie, gdyż występujące braki bywają wyrównane przez inne czynniki dodatnie, związane z wiekiem, jak większe doświadczenie, opanowanie, mniejsza pobudliwość nerwowa itp.

„Obawa przed starością” i starzenie się. Człowiek starzejący się odczuwa i stwierdza osłabienie rozmaitych funkcji życiowych, toteż największe znaczenie ma dla niego atmosfera psychiczna w jego otoczeniu. Niejednokrotnie „obawa przed starością” i jego

następstwami gra tu większą rolę ujemną, niż same objawy starzenia się i utrata części sił. Jeżeli się więc zdarzy, że do tych zmian występujących u człowieka zwykle między 60 a 65 rokiem życia, przylączy się przejście na emeryturę lub inna zasadnicza zmiana warunków życia i pracy oraz otoczenia — to komplikuje to sytuację starca jeszcze bardziej. Zresztą należy tu dodać, że zmiany organiczne i psychiczne w tym okresie są równie silne jak zmiany w wieku dojrzewania. Nic dziwnego zatem, iż nagle wycofanie z dotychczasowych zajęć człowieka jeszcze młodego pracować ma często fatalne następstwa. Człowiek w podeszłym wieku, po wycofaniu go z pracy, a więc z czynnego życia załamuje się niejednokrotnie, nagłe traci całą dotychczasową dzielność, staje się istotnie stary i niedołężny.

Medycyna rehabilitacyjna ma w takim wypadku doskonały środek, gdyż zaleca dawanie ludziom starszym lżejszej pracy przy pozostawieniu ich na tym samym miejscu pracy. Jeżeli tego nie można zrobić, trzeba człowiekowi starymu zapewnić jakieś zajęcie nowe czy to w rodzinie czy poza nią, aby się nie czuł niepotrzebny. Tutaj wielką pomocą są rozmaite amatorskie prace, t.zw. hobby, na które człowiek na emeryturze może poświęcić więcej czasu.

Szacunek, ale i roztropność. Lekarze podkreślają jednak, że z drugiej strony należy dbać o to, aby ludzie starzy i nie nadający się do pełnienia pewnych czynności ze względu na utratę sił czy zdolności reakcji nie stanowili poważnego niebezpieczeństwa dla otoczenia. Dotyczy to szczególnie prowadzenia samochodu czy też nawet jazdy na rowerze na ruchliwych ulicach. Toteż przedłużanie prawa jazdy dla ludzi leciwych powinno być zależne od okresowego badania ich reakcji i ogólnego stanu zdrowia. Z pewnością nie ma to nic wspólnego z brakiem szacunku dla starości, bo ten szacunek — jak to zaznaczył jeden z profesorów uniwersytetu na wspomnianym kongresie terapii — stanowi jeden ze sprawdzianów poziomu kultury ludzkiej.

CHOROBA 95 PROCENT LUDZI

Lekarze stomatolodzy twierdzą, że 95% ludzi choruje na próchnicę zębów (caries), która się stała prawdziwą chorobą naszej cywilizacji. I co najgorsze, nie można liczyć na to, że uda się ją zahamować takimi ogólnymi pociągnięciami jak polepszenie jakości wody do picia, czy też zmiana systemu odżywiania.

Międzynarodowe i krajowe zjazdy stomatologów coraz częściej przychodzą do wniosku, że jedynym środkiem skutecznym może być zapobieganie, zwane po lekarsku profilaktyką. Polega zaś ono po prostu na strasnym pielęgnowaniu zębów od wczesnego dzieciństwa. Nie można bowiem czekać aż ból zęba ostrzeże, gdyż zdarza się często, iż zaczyna boleć ząb już porządnie popsuły. A więc stała kontrola zębów przez lekarza-stomatologa jest konieczna i to od najmłodszych już lat, jak okazały doświadczenia ostatnich lat, badając wpływ chorób zębów mlecznych na stan zębów u dorosłych.

Jeden z najważniejszych problemów leczenia zębów przedstawia się następująco: Ząb bez żywej miazgi łatwo staje się rozsądnikiem jądów i bakterii w całym organizmie człowieka, powodujących takie schorzenia, jak zapalenie nerek, rozmaite niedomogi serca, reumatyzm stawowy i mięśniowy i wiele innych. Dlatego lekarz powinien się starać o utrzymanie zębów żywych, a nie lekkomyślnie usuwać z nich nerwy.

W Niemczech, gdzie stomatologia i tech-



Koniec szczotek do zębów, past wszelakich i proszków ogłasza niemiecki wynalazca. Zastąpić je ma obecnie bardziej odpowiedni w czasach ogólnej mechanizacji i skuteczniejszy w działaniu tak zwany „atomizator”. Będzie on przepłukiwał jamę ustną gruntownie, docierając do każdej szczeliny w zębach. Płyn do płukania — zawierający w sobie kwas węglany (H₂CO₃) — ma nie tylko doskonale oczyścić zęby, ale podobno chronić je będzie również od próchnicy.

nika dentystyczna stoją wysoko, wysunięto na ostatnim krajowym zjeździe stomatologów szereg interesujących postulatów. A więc konieczność rozciągnięcia przymusowej opieki dentystycznej nad dziećmi i młodzieżą od lat 3 do 18 i wprowadzenia w Kasach Chorych przepisu, że leczeniu korzeni będą podlegali tylko ci pacjenci, którzy poprzednio starali się przez stałą kontrolę lekarską swych zębów współpracować z lekarzem dla uniknięcia szkód to ma skłonić dorosłych do wczesnego dbania o swe zęby). Wysunięto też żądanie, aby każdy dłużej przebywający w szpitalu pacjent miał prawo do opieki dentysty. Dotyczy to przede wszystkim szpitali dla chorych na płuca, na nerwy, ortopedycznych itp.

Osobne zagadnienie przedstawia dziś protetyka. Uzupełnienie brakujących zębów lub nawet części szczęki protezami, nie jest — jak to się wielu wydaje — sprawą wyłącznie techniczną. Trzeba bowiem pamiętać o tym, zwłaszcza dzisiaj, kiedy się robi bardzo skomplikowane protezy z rozmaitych metali szlachetnych, ze stopów stali, z porcelany i rozmaitych materiałów plastycznych — że wprowadza się do żywego organizmu ciało całkiem obce. Jest to zawsze połączone z pewnym wstrząsem, dlatego też do wprowadzenia obcego ciała do jamy ustnej powinien przygotować ją lekarz, który wie, iż nie tylko dokładne wykończenie protezy jest konieczne, ale również przygotowanie w jamie ustnej odpowiednich do przyjęcia protezy warunków biologicznych. W przeciwnym razie możemy mieć do czynienia z ujemnym wpływem protezy na ogólny stan zdrowia, a nawet z rozmaitymi przykrymi powikłaniami.

TEATR

DWA ŚWIATY

London naszego wygnania, opatrzone i odpychający jak cela więzienna, jest ciągle pełny niespodzianek, zaskoczeń, nieoczekiwanych otwarć. Coś z tego wszystkiego przynosi sztuka Leo Lehmana: „Who Cares?”, wystawiona w teatrze „Fortune”, który nosi taką nazwę może dlatego, że patrzy twarzą w twarz w Drury Lane, w kilka stuleci burzliwych dziejów sceny angielskiej. Jest to sztuka o temacie polskim (przynajmniej w połowie) napisana przez autora polskiego pochodzenia. Trzeba było dopiero zbiegu okoliczności, uderzających poszlak w treści, przypadkowych spotkań, żeby się o tym dowiedzieć.

Wyznam szczerze, że kariera p. Lehmana budzi we mnie i podziw i przykre zdumienie. Liczy on w tej chwili niespełna 30 lat, czyli w chwili wybuchu wojny był istotą mniej więcej świadomą. To, że uznał język swoich studiów za język twórczości, jest jego osobistą sprawą, raczej intymną i delikatną, być może nieuniknioną. Zdumiewa w przykry sposób zerwanie wszelkich związków z krajem urodzenia, z wielką grupą mówiącą na obcej ziemi językiem jego dzieciństwa, zerwanie tak dokładne, że trzeba przypadku, aby wyszły one na jaw. Ale być może należy słumić ujemny koloryt tego zdumienia: takie paniczne ucieczki, takie usilne zacieranie śladów taję często urazy wstydlive, bolesne, głęboko zakotwiczone w psychice.

P. Lehman otrzymał od losu niewątpliwie talent i na dokładkę nazwisko o bardzo dobrym, bardzo literackim tutaj brzmieniu: nosi się powieściopisarka Rosamond Lehmann i bardzo czynny, wielostronny literat, organizator życia literackiego, redaktor „London Magazine” John Lehmann; klan pisarski Lehmannów idzie zaraz za klanem Sitwellów. Autor sztuki „Who Cares?”, Lehman „gente Polonus” ukończył studia we Francji i w Anglii. W roku 1950 otrzymał stypendium Arts Council w wysokości £ 500, wybrany spośród 18 kandydatów jako „najbardziej obiecujący młody pisarz”. Miał wtedy w dorobku pięć sztuk: jedną z nich „Farewell to Faustus” czytano na głosy w londyńskim „First Stage Society”, inną „When in Rome”, wystawiono w Windsorze. Ostatnia sztuka, napisana już po tym zaszczytnym i pomocnym odznaczeniu sprzed trzech lat, szła na prowincji, zanim w doskonałej obsadzie i niezmiernie starannym opracowaniu weszła na scenę londyńską.

W tej sztuce zastanawia przede wszystkim temat, zastanawia motyw jego wyboru: czy młody autor, który tak dokładnie zerwał wszystkie związki z Polską, poczuł wewnętrzny przymus każący mu do niej wrócić, czy też dojrzał w niej materiał egzotyczny i mogący wzbudzić zainteresowanie w przybranej ojczyźnie? Wiele — atmosfera sztuki, jej światłości, rozłożenie akcentów, nawet nie bardzo szczęśliwy a wzywający tytuł przemawiają za pierwszym przypuszczeniem.

Sztuka jest konfrontacją dwu światów, dwu wrażliwości, dwu kręgów doświadczenia, przeprowadzoną odważnie, chwilami jakby sadystycznie, jakby odwetowo. Nie można mieć wątpliwości, że przez usta młodego Polaka-dipisa autor mówi cierpkie, szokujące prawdy Anglii i Anglikom, światu, który sam wybrał, ale do którego bodaj bez reszty nie

przystał. Chce się myśleć, że zdradzają się w nich więzi gorzkiej pamięci, nieprzedawnione zobowiązania moralne.

Świat nienaruszony w swoich posadach reprezentuje zaciszna pracownia profesora Petersena w jakimś pomniejszym, bliżej nie określonym mieście uniwersyteckim „na południu Anglii”. Przez glob ziemski przewalają się kataklizmy, gdzieś setki tysięcy ludzi zamknięto w średnio-wiecznych ghettach, a później wywieziono ich jak trzodę i przerobiono „na mydło”, gdzieś wybuchła bomba atomowa, gdzieś slaniające się zastępy kościotrupów wychodzą dzień w dzień na pracę niewolniczą, wobec której piramidy egipskie są dziecinną zabawką, gdzieś dziesiątek narodów zaprzędano w jarzmo, by nim okupić pozorny i haniebny pokój, a Petersen nie przyjął tego do wiadomości, pozostał sobą, starym dzieckiem, entuzjastą i specjalistą od poezji anglo-saksońskiej. Nie bardzo można mieć o to pretensje, jeśli we własnym domu, w własnej żonie, w kręgu bezpośredniej obserwacji i odpowiedzialności nie dostrzeżę ośrodków fermentu, niezadowolenia, niedosytu. Gdy go poznajemy niedługo po wojnie, jego myśl krąży wokół tego samego punktu, wokół którego krążyła w chwili wybuchu wojny — starego rękopisu odkrytego w Krakowie; dziecinne podniecenie wywołane oczekiwaniem na upragniony dokument przesłania wszystko.

Przywozi go do tej przystani wprost z obozu dipsow w Niemczech syn odkrywcy i właściciela, profesora uniwersytetu krakowskiego i ofiary lagru, Stefan. Wraz z nim wdziera się gwałtowny powiew: smród żywych trupów gnijących w kacetach, dym pieców krematoryjnych, niedola ludzi wykorzenionych z własnej ziemi i skazanych na tułaczkę po obcych światach. Wdziera się coś więcej; poddanie w wątpliwość zasad moralnych, norm regulujących stosunki między ludźmi, obowiązków konwencji obyczajowych.

Zderzenie tych dwu postaw życia — kwietystycznej, niczego nieświadomej, uchylającej się od wszystkich jego nędz i poruszanej do dna, bolesnie uczulonej — jest gwałtowne jak karambol. Nie uchodzi on, nie może ująć nawet na pół uśpionej spostrzegawczości księżycowego filologa. Na jego żonę i córkę posępne, dziwaczne zjawisko młodego chłopca, odzianego w unrowskie tu przydługie, ówdzie przykuse lachy, działa urzekająco. Profesorka i profesorówna pocieszają go każda na swój sposób. Między macochą i pasierbicą zapala się rywalizacja o miejsce w jego sercu.

Ale serce wytracone z koleiny przechodzi boleśnie i wgardliwie, z cynicznym szyderstwem i rozdzierającym smutkiem obok pełnego osiadłego, nieczulego, nieświadomego istnienia. Przepiętnia to serce niepokój, przymus ruchu, niezdolność wrośnięcia w grunt obcy. Stefan rusza dalej w świat. Nie wiadomo, czy tam znajdzie równowagę, zapomnienie, zgodę na to, że jedni cierpią a inni nawet o tym nie wiedzą, nie dorastają wyobraźnia do ich cierpienia, nie są świadomi wstrząsu, jakiego doznała cała kultura. Ale wiadomo, że w dostatnym domu Petersenów wszystko zaciągnie się tą płytką gładziwą, która pokrywa sadzawkę po przelotnej burzy. Choć być może, stary profesor od młokosa, który mógłby być jego synem, dowiedział się czegoś o świecie, o życiu, o swojej żonie i córce? Może nauka tej przygody zapadnie tym głębiej, że rękopis przywieziony z kraju niedoli przez wysłannika niedoli okazał się falsyfikatem, bezużytecznym sparganiem? W tym finale sztuki pobrzmiewa jakby norwidowska ironia.

Sztuka p. Lehmana jest dosyć wiotka, dosyć niska w swojej treści, ale ukazuje pełnię opanowania rzemiosła, umiejętność budowania żywych charakterów, umiejętność tworzenia i wiązania sytuacji dramatycznych. Jej siłą stanowi „message”, przekazanie ciągle niedostrzeganej prawdy o otaczającym nas życiu, prawdy o kainowym podziale jednej kultury na jej uczestników pierwszej i drugiej kategorii.

Już kilka razy wyrażałem poglądy, że forte teatru angielskiego stanowi nie teatr monumentalny, teatr wielkich wymiarów i perspektyw, ale teatr kameralny, teatr na miarę powszedniej rzeczywistości. „Who Cares?” w reżyserii Basila Deana popiera wymownie tę tezę. Wszystko w tym przedstawieniu, od suggestywnych dekoracji do cyzelatury najdrobniejszych, najbliższych działań aktorskich, nosi piętno świadomej, celowej, szlachetnej, rzeczywiście mistrzowskiej roboty.

W obsadzie, prawie bez reszty wyrównanej i zrównoważonej, wybijają się na czoło Alec Clunes jako profesor i Denholm Elliot (niezapomniany „Confidential Clerk” wielkiego homonima bez półwojnych spółgłosek, T. S. Eliota) jako Stefan. Jest to duet wielkiej klasy.

Mimo zalet dramatycznych i jeszcze większych zalet teatralnych, „Who Cares?” nie ma powodzenia. Anglików ta sztuka zapewne razi zbyt oczywistą, zbyt gwałtowną i w partiach erotycznych zbyt wyjąskrawioną prawdą. Polacy głównie z winy autora o tej sztuce nie wiedzą.

Należy mu życzyć, aby to się zmieniło, póki nie jest za późno.

Tymon Terlecki

FILM

GUSTAW STRESEMANN

W Hanowerze, jak donosi prasa niemiecka, odbyła się prapremiera zdawna oczekiwanego filmu o Gustawie Stresemannie (1878 - 1929), niemieckim polityku i ministrze spraw zagranicznych, twórcy wraz z ministrem francuskim Briandem słynnego paktu lokarueńskiego z r. 1925. Na przedstawieniu obecni byli przedstawiciele związkowego ministerstwa spraw wewnętrznych, Bundestagu i rządu Dolnej Saksonii. Syn bohatera filmu dr Wolfgang Stresemann, który jako współpracownik historycyzny czynny był przy nakręcaniu obrazu, dyrygował przed rozpoczęciem przedstawienia uwerturą „Egmont” Beethovena.

Stresemann był politykiem niebezpiecznym dla Polski; przez głoszenie hasła pacyfistycznych starał się o zbliżenie między Francją i Niemcami, by osłabić sojusz francusko-polski i tą drogą przygotować grunt pod realizację niemieckich postulatów rewizjonistycznych, zwłaszcza w sprawie Pomorza. W układach lokarueńskich przeprowadzone zostały różniczenie między bezpieczeństwem granic na Zachodzie a granicy polsko-niemieckiej, różniczenie na niekorzyść Polski. Przepuszczał jednak w filmie, w którym chodziło o uwydatnienie roli Stresemanna jako budowniczego pokoju w Europie moment ten nie został poruszony.

♦♦♦
ROZPOWSZECHNIJ
♦♦♦ WSRÓD SWYCH ZNAJOMYCH ♦♦♦
♦♦♦ »Z Y C I E« ♦♦♦

LITERATURA

KSIĄŻKA Z KRAJU

SZLACHECKI MIT

Zbiór opowiadań Jana Józefa Szczepańskiego pt. „Buty” miał być — wedle zwierzenia autora na wstępie tomu — pierwszą jego książką, debiutem pisarskim. Jednak tych opowiadań z okresu okupacji, a pisanych w latach 1945-1950, nie pozwolono mu wcześniej wydać. Szczepański rozpoczął drogę pisarską głośnym opowiadaniem „Portki Odysa”, „Polską jesień” (1955), piękny i szczery pamiętnik z kampanii wrzesniowej, przyjęto chłodniej. Koło wydanych w roku ubiegłym przez krakowskie „Wydawnictwo Literackie” „Butów” powstało znów wiele przychylnego szumu.

„Polskiej jesieni” nie doceniono ani w Kraju ani emigracji. Jest to bowiem najlepsza, czy raczej najprawdziwsza książka literacka o Wrześniu, znacznie przewyższająca wymęczone „Dni kłeski” Zukrowskiego, aby jej nie porównywać z monstrualnymi wykrzywieniami prawdy historycznej przez Nałkowską i Putramenta. Ale i to także zaledwie pamiętnik, podobnie jak wspomnienia Adolfa Rudnickiego. Literatura polska ciągle jeszcze nie ma eposu o Wrześniu.

„Buty” to zbiór opowiadań „leśnych” i okupacyjnych. Tego rodzaju wspomnień i opowiadań jest już w polskiej literaturze sporo, z niezapomnianym tomem „Z kraju milczenia” Wojciecha Zukrowskiego na czele. „Buty” pomnażają partyzancki skarbczyk o kilka zgrabnych opowiadań, ale nie przerastają innych drzew w tym lesie. To, co w nich najbardziej cennego, objaśnił sam autor we wstępnym komentarzu: „...Zbrodnia nie jest czymś, co przychodzi z zewnątrz i może być przewyższona dorożnią, ale (tym, co) stanowi aktualną możliwość... Grozi nam (z jej strony) nie tylko fizyczna porażka, ale i zarażenie; nawet w zwycięstwie możemy okazać się nie dość odporni.” Opowiadania Szczepańskiego ukazują wąskość i przepaścistość przełęcz między walką a zbrodnią, między tropieniem zła i chodzeniem z nim pod rękę.

Najczystsze w rysunku ideowym jest pod tym względem opowiadanie tytułowe — o podstępnej masakrze dezertersko-własowców przez polski oddział partyzancki. „Wszarz” jest już rozszczępiony na dwa ideowe rdzenie: jeden ukazuje żądło zdolności człowieka na dnie nędzy do każdej zbrodni, drugi — zwyrodnienie namiętności walki, w której z braku wroga prawdziwego szuka się urojonego. Ale to mimo wszystko stop dobrych metali.

Tu trzeba otworzyć nawias dla zdania o sztuce pisarskiej Jana Józefa Szczepańskiego. Wysokiej próby artystycznej próby jest skażony nazbyt drobiazgową refleksyjnością. Szczepański, rodzajem talentu mocno osadzony w siodle realizmu, jak don Kiszot ponad rzeczywistość przenosi jednak ideał własnych i stanu swojego urojenia. Jest to już anachronizm w epoce pisarskiej, kiedy fakty tłumaczyła dusza, a nie dusza fakty. Toteż „Buty” napisane są w tonacji staroświeckiej, psychologizującej, zaś śmiałość obrazowania i słownictwa opowiadań styl ten raczej podkreśla. Tylko „Buty” i „Wszarz” płyną kory-

*) Jan Józef Szczepański BUTY I INNE OPOWIADANIA. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1956. Stron 274.

tem nie zamulonym przez wypiętrzone psychologiczne refleksje.

Niestety, konstrukcja zbioru opowiadań J. J. Szczepańskiego łamie się bez ratunku nagromadzeniem w tomie zupełnie różnych i nie zharmonizowanych ze sobą wątków. Między dwa świetne opowiadania leśne wbity jest klin dość taniej parabol o cierniowej drodze poświęcenia dla sprawy pt. „Dwie jesienie”, a po „Butach” następuje ciekawy, lecz stylowo i ideologicznie hybrydowy „Koniec legendy” i trzy zupełnie naiwne szkice pamiętnikowo-refleksyjne.

„Buty” i „Wszarz” unoszą wysoko szale zbioru opowiadań Szczepańskiego. „Koniec legendy” nieco je obniża, nie przeważając jeszcze w dół, lecz niestety, wszystkie pozostałe opowiadania przytłoczone są dość pospolitą inteligentką gadaniną.

Pomysł „Konca legendy” jest nadzwyczajny: noc sylwestrowa w dworze ziemiańskim, w pobliżu frontu sowiecko-niemieckiego na ziemiach polskich. Stary świat szlachecki tańczy ostatniego poloneza, a przypadkowo stłoczeni w pałacu goście urządzają maskaradę. Są wśród nich uchodźcy z Warszawy, przedstawiciele nowego świata: zimnej kalkulacji życiowej, potępiającej ideały nad stan. Autor jednak najniespodziewaniej utoniamia dwór i styl oraz ideały życia ziemiańskiego z walką narodu na śmierć i życie, między młotem i kowadłem dwu najazdów. Walkę o wolność i suwerenność identyfikuje z dumą szlachecką, przeciwstawiając jej „realizm” jednostek pochodzenia mieszczańskiego. W tym obrazie odstania się niepoprawna zarozumiałość warstwy, której rola w życiu narodu stała się od wielu dziesiątków lat marginesowa. A już walka podziemna i powstanie warszawskie nie były z pewnością czynami szlachty, lecz całego narodu, a więc przede wszystkim mieszczaństwa i ludu. Zdradźców, tchórów i oportunistów nie brak było w żadnej warstwie, ale chyba nie najmniejsza ich ilość rekrutowała się z warstwy ziemiańskiej. Trzeba nareszcie zrozumieć, że do tańczenia poloneza nie trzeba być szlachcicem z tradycjami; wystarczy być Polakiem. Mit szlachectwa jest co najmniej od wieku przeszkodą na drodze do pełnego wyzwolenia energii narodowej. Toteż najmniejszą tragedią drugiej wojny światowej był zmierzch dworu szlacheckiego.

Nie można, oczywiście, obwiniać autora „Butów” o wybór środowiska ziemiańskiego dla ukazania obrazu ginącej rzeczywistości, zwłaszcza jako twórcywa artystycznego, ale jednak wymowa „Konca legendy” byłaby przejrzysta, gdyby Szczepański w swój korowód sylwestrowy wstawił choćby jednego przedstawiciela ludu lub mieszczaństwa po stronie honoru narodowego. Bo przecież z pewnością nie chodziło mu o gloryfikację ziemian, lecz o symbolikę ginącej rzeczywistości.

Mimo tego rażącego błędu, „Buty i inne opowiadania” są książką nieprzeciętną artystycznie i ideowo.

J. B.

SYLWETKI

T. S. ELIOT

Thomas Stearns Eliot, najwybitniejszy ze współczesnych poetów angielskich, jest z pochodzenia Amerykaninem, podobnie jak był nim zmarły podczas pierwszej wojny światowej powieściopisarz Henry James, przyjaciel Conrada-Korzeniowskiego. Ta „wymiana” pisarzy ma zresztą charakter obustronny, skoro Anglia dała Ameryce powieściopisarską i eseistę Aldousa Huxleya i poetę W. H. Auden — obu już od dłuższego czasu osiadłych na stałe w Stanach Zjednoczonych.



T. S. Eliot z żoną

T. S. Eliot urodził się w St. Louis w roku 1888. ma więc obecnie ponad 68 lat. Kształcił się kolejno na uniwersytecie Harvard w Stanach Zjednoczonych, paryskiej Sorbonie i w Oksfordzie. Począwszy głośno zbiorów poezji i szkiców krytycznych. Wielki rozgłos zjednał mu wydany w roku 1922 — a więc gdy Eliot miał 34 lata — poemat „The Waste Land” („Ziemia jałowa”), który przede wszystkim dzięki śmiałości i pięknu swych metafor stanowił rodzaj przełomu w dotychczasowych formach poetyckich. Poemat ten wywarł dzięki temu wielki wpływ na młode pokolenie poetów, zwłaszcza w świecie anglosaskim, ale także i gdzie indziej. Na język polski tłumaczył go kilka lat temu Czesław Miłosz.

W roku 1935 Eliot osiąga nowy wielki sukces swym utworem dramatycznym „Murder in the Cathedral”, którego osnowę stanowi zabójstwo Tomasza Becketta, arcybiskupa Canterbury (kanonizowanego w dwa lata później) przez króla Henryka II w roku 1170. Utwór ten często wystawiany jest na scenach angielskich i obcych. Twórczości dramatycznej Eliot poświęca się także w latach powojennych; dużym powodzeniem cieszą się jego sztuki „The Cocktail Party” (1949) i „The Confidential Clerk” (1953).

Trzecią dziedziną, w której Eliot celuje, są eseje, głównie literackie. Eliot jest angliko-katolikiem; jest to, jak wiadomo, najbardziej zbliżony do Kościoła katolickiego odłam anglikanizmu. Swę postawie chrześcijańskiej i spirytualistycznej, ogarniającej całość życia ludzkiego, Eliot dał wyraz zwłaszcza w książce „The Idea of a Christian Society” (1939), daje jej stałe wyraz w swych poezjach i utworach dramatycznych. W roku 1946 Eliot napisał przemowę do książki „The Dark Side of The Moon”, obrazującej masowe deportacje Polaków w głąb Rosji w czasie drugiej wojny światowej.

W roku 1948 Eliotowi przypadła nagroda literacka Nobla.

T. S. Eliot jest od szeregu lat dyrektorem wielkiej firmy wydawniczej Faber and Faber w Londynie.

NOTATKI

WRAZ z numerem 42 arcynudnego biuletynu reżymowej ambasady pn. „Polska Dzisiejsza” redakcja rozesała pismo kawiadmiające o likwidacji tego niepożytecznego organu.

Aby jakoś uzasadnić rozkaz z Warszawy, redakcja oświadcza, że „kontakty uchodźstwa z krajem zacieśniają się, są również coraz szersze możliwości nabywania i prenumeraty... dzienników i periodyków oraz innych wydawnictw ukazujących się w Polsce”. Do tej pory istniała w tej dziedzinie jakoby „luka” i „trudności w kolportażu polskiej prasy”. Po czym obywatelskie redakторы podają adres księgarni, gdzie można zamawiać prasę krajową. Ten sam, dobrze wszystkim znany adres, stary jak Polska Ludowa. A więc chyba ani dotąd nie było „luki”, ani też w dziedzinie kolportażu prasy krajowej nic nowego nie zaszło?

W rzeczywistości do tej pory różne biuletyny ludowe służyły do szerzenia kłamstw o rzeczywistości w Polsce, a teraz mija się to z celem, wobec szczerości prasy krajowej.

„Polski Dzisiejszy” wyszło 42 numery. Skromniutko licząc, każdy numerem z ekspedycją musiał kosztować 100 funtów, nie licząc gaży redaktora. 42 razy 100 w świecie kapitalistycznym równa się 4.200 funtów. W Polsce by za to można zbudować szkołę albo małą kolonijkę mieszkalną.

KIEDY „Kraj”?

BARDZO słusznie, że rząd w Polsce domaga się pomocy ze strony emigracji i obcych. Ale czy by nie należało zacząć od likwidowania marnotrawstwa u siebie w domu?

Pomysłowość reżymu w wyrzucaniu pieniędzy do błota jest niewyczerpana. Np. masowa produkcja śmiecia pod nazwą „Kraj”. Albo rozsyłanie luksusowo wydawanych wielobarwnych biuletynów pt. „Mówi Warszawa” z rewelacjami w rodzaju: „Gdy zakwitną kasztany... pora zabrać się do nauki”.

Ot problem Polski Ludowej: w styczniu pisać o kasztanach. I rozsyłać to za wydarte od narodu pieniądze w świat, aby się pochwalić, że i Warszawa ma swoje radio...

KRAJ, Kraju, Krajowi, Kraj, o Kraju!, Krajem, w Kraju... Grupa titoizujących dziennikarzy i pisarzy wszczęła historyczną akcję przeciw Związkowi Pisarzy Polskich na Obczyźnie, że niby odwraca się plecami do twórców i twórczości kolegów w Kraju.

Ale na wieczór autorski Hanny Malewskiej w Londynie nie przyszedł ani jeden z krytyków „antypolskiej” działalności Związku.

ZA TO Juliusz Mieroszewski w „podsumowaniu ankiety” „Kultury” rzucił demokratyczne „chajrem” na Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie stwierdzając wcale krótko i dość wżelwato, że 1) wszyscy, co uwzięli uchwałę Związku o niedrukowaniu utworów w prasie i wydawnictwach komunistycznych „zostali wyodrębnieni i wyizolowani z społeczności emigracyjnej”, 2) że „zdradzili posłannictwo pisarskie”, 3) że on sam, Juliusz Mieroszewski, „nie chce mieć nic wspólnego z Związkiem, który podejmuje antypolskie uchwały”.

Aż pachnie Berezą!
Ulubioną metodą tego sędziego śledczego polskiej publicystyki jest przeciwstawianie jednych pisarzy drugim. Mieroszewski pa-

tryzy na sprawę uchwały Związku Pisarzy jak na mecz futbolowy, w którym, wedle niego, drużyna mistrza pobiła na głowę patałachów. „Wynik ankiety ‘Kultury’ — pisze — jest miażdżący dla pp. Terleckiego i Kisielewskiego oraz ich grupy”. Coś jak dziesięć do zera, 10 : 0. Rozgrzany tryumfem, przytacza nawet nazwiska zwycięskiej jedenastki. Tj. dziesiątki, gdyż siebie widac mu nie wypadło wymienić. Ale czytelnik się przecież domyśli, że Mieroszewski to center napadu i zarazem kapitan mistrzowskiego zespołu.

Dał nawet Mieroszewski nazwy rywalizującym klubom: Młodzi to, oczywiście, jego grupa, Old-Boye to patałachy, ma się rozumieć.

Niepotrzebnie tylko sfaulował generała Kukieła. Nazwawszy projekt uchwały „drętwym” i „kuriozum”, taką oto dalej snuje myśl: „Istnieją jednak pewne granice trawienia drętwej mowy nawet u Polaków, którzy w tej umiejętności trenowani są od kolebki. Generał Kukiel, świetny historyk i stylist, wstał i oświadczył spokojnie, że trzeba być... cymbałem, by nie dostrzegać istotnych zmian, jakie zaszły w Polsce (w tym miejscu na sali odezwały się samotne brawa niżej podpisanego i Zdzisława Broncela).”

Już bo świetnym stylistą Juliusz Mieroszewski nie jest. Bo „w tym miejscu”, gdzie przemawiał gen. Kukiel, nic się innego nie mogło odezwać, jak tylko sam generał Kukiel, a już najmniej brawa, które w ogóle nie mają zwyczaj się odzywać. Po wtóre, jeśli klaskał Mieroszewski i klaskał równocześnie Zdzisław Broncel, to brawa te nie były samotne, ale bądź co bądź w towarzystwie.

Ale mniejsza o to. Natomiast sęk w tym, że autorem uchwały („drętwej” i „kuriozum”) Związku Pisarzy był nie kto inny, ale chwalony za styl przez Mieroszewskiego... gen. Marian Kukiel.

ZOFIA Kossak opuściła dnia 7 lutego br. Londyn w drodze do Polski, przez Francję.

ZWIĄZEK Artystów Scen Polskich Zgromadzenia porywa się na nie byle jakie przedsięwzięcie. Na kwiecień br. przygotowuje inscenizację „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego, dla uczczenia 50 rocznicy śmierci poety. Reżyserii podjął się Leopold Kielanowski, roli Konrada Zbigniew Blichewicz. W obsadzie niemal wszyscy zawodowi aktorzy przebywający w Londynie. Oprawę plastyczną przygotowuje Halina Żeleńska, muzykę Czesław Halski.

Kielanowski reżyserował już kiedyś „Wyzwolenie” na Pohulance w Wilnie. Co też z tego wyjdzie w Londynie? Pozwalamy sobie już z góry rzucić cichą uwagę: Panie Leopoldzie; Wiersz, wiersz, i w ogóle tekst! Rytm, rytm i melodia. To połowa Wyspiańskiego. Poza tym gest, a nie gierki.

J. B.

PAŁAC ODKRYĆ W PARYŻU

Pałac Odkryć (lub jeśli kto woli: Pałac Odkrycia) w Paryżu ma już sporo lat istnienia i wiele pracy za sobą. Za wyjątkiem czasu wakacji urządza on co sobota po południu odczyty naukowe, mniej lub więcej popularne, oraz od czasu do czasu wystawy naukowe. Jedną z ostatnich wielkich wystaw, poświęconą Leonardowi da Vinci, jako człowiekowi nauki, a trochę także i jako artyście, urządzono w roku 1952. Organizacją jej kierował prof. P. Sergescu, przy pomocy młodszego uczonego francuskiego R. Taton'a; całość wypadła wspaniale.

Duszą wszystkich tych poczynają jest oczy-

wście niezgardzony dyrektor Pałacu p. A. Leveillé, który stara się wciąż o pomnożenie istniejących już sal i o ciągle wzbogacanie i doskonalenie każdej z nich. Jego częste podróże po przeróżnych zagranicznych muzeach pozwalają mu utrzymać stały kontakt ze wszystkimi muzeami tego rodzaju w cywilizowanych krajach.

Tym razem stworzono międzynarodową „Kampanię Muzeów”, trwającą cały tydzień, a podczas tego tygodnia paryżanie mogli zwiedzać wieczorami muzeum Luwru oświetlone i to zwiedzać bezpłatnie, co było nieładną okazją, gdyż Luwr można zwiedzać bezpłatnie zazwyczaj tylko w niedziele i naturalnie w dzień.

Na początku owego tygodnia propagandy muzeów, Pałac Odkryć urządził ciekawy i pouczający wieczór, który zgromadził bardzo liczną publiczność, przeważnie z kół naukowych. Obecni byli: rektor Sorbony, Jean Sarrailh, członek Académie des Sciences prof. Paul Montel, Gabriel Bertrand i inni, oraz wielu uczonych zagranicznych.

Na początku miała miejsce dość niezwykła emisja, gdy mówili wprost z odnośnych stolic uczeni zagraniczni. Pierwsze przemówienie wygłosił rektor paryskiego uniwersytetu, p. J. Sarrailh, po czym przemawiał p. McMaster z Chicago, p. Pierre Auger z Nowego Jorku, profesor włoski z Mediolanu, p. Greenaway ze Science Museum z Londynu, prof. Heuwig z Deutsches Museum z Monachium i wreszcie prof. Postniakow z muzeum politechniki z Moskwy. Wszyscy mówili o znaczeniu muzeów naukowych dla nauki i konieczności zbliżenia szerokiej publiczności do kwestii naukowych. Całą tę serię odczytów prowadzili pp.: Grenes i Fernand Lot. Zamknęło ją przemówienie dyrektora Pałacu Odkryć, p. A. Leveillé, który konstatając rolę cywilizacyjną i wartość naukową muzeów, nie bez pewnego wzruszenia mówił o tym co stało się ukończonym dziełem jego życia, czemu poświęcił tyle lat pracy.

Następnie publiczność zwiedzała sześć nowych sal, inaugurowanych tego wieczoru: salę metalografii, salę fotochemii, salę elektrochemii, salę spektrografii, salę Pasteura, zawierającą całą historię odkryć tego wielkiego uczonego, poczynawszy od roku 1847 aż do roku 1888, tj. daty powstania Instytutu Pasteura, niezmiernie dziś rozszerzonego.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że pracował tu niedługo, tj. przed wojną 1914-18 r. i jeszcze kilka lat po tej wojnie, znany i bardzo ceniony w kręgach uczonych francuskich Polak dr Jan Danysz. Obok historii odkryć Pasteura zebrano tu i całą serię starych fotografii, ukazujących nam rozmaite epoki życia tego uczonego oraz miejsca, w których pracował.

Wreszcie ostatnia jest sala chirurgii, jej najnowszych odkryć i udoskonaleń.

Ogólne zainteresowanie budzi olbrzymi odlew największego znanego w świecie ammonitu, mającego 1 m 90 diametru. Wypożyczło go specjalnie Muzeum Geologiczne z Bochum (Niemcy) na ten tydzień muzeów. Sam ammonit miał pono 2,50 m i znajdował się w Muzeum Geologicznym w Munster (w Niemczech), lecz dziś już nie istnieje.

Na zakończenie wieczoru doskonały bufet. Dyrektor A. Leveillé i jego zawsze czynna sekretarka, pani Campeaux zajmują się uprzejmie gośćmi. A na pamiętając wieczoru uczestnicy jego zostają obdarowani wcale ładnym medalem z napisem: „Campagne Internationale des Musées. Unesco”, gdyż cała uroczystość i kampania muzeów odbywa się pod znakiem Unesco.

Dr Marya Kastarska

TWÓRCZOŚĆ EMIGRACYJNA

TEODOZYJA LISIEWICZ

P O K U T A W O D Y

4)

OPOWIADANIE

Nie zmieniali ostatnio sznura przy studni? Zmieniali. Hak nie ich? Ich, bo tamten już nadrzęwał. Teraz niech panna albo za sznury oida wstecz i za hak na sznurze i wtedy dopiero zaczęną się godzić, albo oni dalej studnię swoim kosztem będą utrzymywali, a wody panna nie zabroni. A woda czyja? — zapytała, wysłuchawszy. Hak może ich, jak i sznury, ale woda była jej i będzie, a co jej, tego tknąć nie pozwoli. Zdumili się zgorzniecie — A co? to woda — zboże, jakie pracą ludzką z pola wyrasta? Mąka, którą zmielić trzeba i z trudem utrzymać w komorze? Woda sama pod ziemią się rodzi, błogosławienstwo, jakie Pan Swoim pomysleniem człowiekowi zesał. Grzech komus wody bronić, bo jej więcej na świecie niżli czego innego. Tak powiedział Gniewa, który kiedyś z księdzem do szkoły chodził, więc nie jedno o świecie było mu wiadome. Wody nikomu nie zabraknie. — A co będzie, jeżeli wybieżecie i mnie zbraknie? — zasiedziła się stara. Panno, panno, spojrzeli na nią kiwając głowami, studnia nie wiadomo od wielu dziesiątek lat stoi, i jeżeli dotychczas źródło nie wyschło, to miałoby wyschnąć od tych kilku wiader? Tym lepiej — usmiechnęła się, ale tak, że woleliby, żeby żeby im pokazała — bo dla mnie więcej zostanie. Co moje, tym z nikim dzielić się nie myślę.

Cofnęli się chlopi bez słowa, bo już nie gniew, tylko strach ich chwycił na takie bluźnierstwo, i prosto poszli do księdza.

Dwa razy musieli mu powtarzać, bo zrozumieć nie mogli o co chodzi, a kiedy zrozumieli, aż się przęgnęli. W Imię Ojca, Syna i Ducha... Wody komus żałować? Jak żyje, nigdy o czymś podobnym nie słyszał. To prawda, że Stary Testament znał na pamięć, gdzie o studniach i wodzie w każdym niemal rozdziale mowa, ale to jest polska ziemia, nie pustynna słońcem wypalona, i zanim Lechy na niej osiadły, już wody w bród było i nikt jej nikomu nie bronił. Potem zaczęła się dopytywać, co to za woda, bo o powidkiew studni niewiele słyszał. Kawię pijał, a herbatę tylko czasem. Kręcił głową, cmoćkał, dziwił się bardzo, a potem znów się zasiedził i powiedział, żeby nie zważać, tylko chodzić do studni jak zawsze, bo chociażby wszyscy z miasteczka czerpali, to jeszcze babie zostanie na całe życie.

Niech tylko mają się na baczności, by do kłótni nie doszło, bo wtenczas grzech wyszedłby z tego i zgorzenie. Dopiero kiedy wspomnieli o tym, co rzekł urząd, ksiądz od razu zakręcił się, rozłożył ręce i oświadczył, żeby robili co chcą, bo on do tej sprawy mieszać się nie może, ani też opinii wyławać. Niech się nawet na niego nie powołują, gdyby do czego przyszło, bo głos zabrał tylko jako osoba prywatna.

I kiedy odeszli, trochę nawet zawiedzeni, zawołał Konopiaczkę, co mu gospodarstwo prowadziła i powiedział, żeby po wodę na Powidkiew kogo posłała, bo herbaty smacznej napiliby się wieczorem. Poszedł do okna, i widząc zza firanki jak Szymek organistów z

konwią wybiegł na ulicę, odczekał chwilę, potem wziął kapelusz, brewiarz i powołał ruszył za nim.

Doszedł do Wolicy w chwili, kiedy Szymek ceber pełen ze studni wyciągał, uniósł i do konwi przelewał. Widział wszystko, bo niby dla oddechu zatrzymał się na drodze brewiarz czytając, ale studnię z domem dobrze miał na oku. Dlatego też dostrzegł, jak panna Powidzka sunęła ku Szymkowi. Widział też jak chłopak przedko ceber przechylił, że woda strumieniem po bokach chluseła, i zanim go panna dopadła, konew chwycił, zwinął się, wykręcił i śmiejąc się już pędził ku Zgorzeniom. Do księdza doleciał jeszcze tylko łomotliwy głos panny, bo słów już uchwyć nie zdołał i bezczelne rechotanie Szymka. Ksiądz nawet nie wiedział, że z załowolenia usmiechnął się sam do siebie. Teraz ruszył wzdłuż muru, potem się ogładnął, szybko skrócił na boczną ścieżkę i od strony Zaworza wszedł na podwórze. Brewiarz wsunął do przepastnej kieszeni, ostróżnie drzwi o domu uchylł i w sieni ujrzał widać kogoś, bo zdejmując kapelusz, rzekł: „Niech będzie pochwalony...” i wszedł do środka.

O czym z panną Powidzką rozmawiał, niewiadomo. Późnym już wieczorem zastukał w okno Gniewów, a gdy Gniewa się wychylił, wywołał go na podwórze i tam w ciemności przykazał, by nikt, ani jeden człowiek ze Zgorzeń-wsi nie ustąpił. Trzeba czy nie trzeba, ale niech bierz z powidkiew studni i kropli nawet nie daruje. Mówiąc to, choć jeszcze głos mu się trząsł z oburzenia, przecież nie zapominał dodać, by Gniewa nie powtarzał ludziom, że ksiądz tak radzi.

— Bo nie tylko że bliżniemu skąpi tego co Boże — huczał mu do ucha — ale jeszcze mnie oszukała, bo do kościoła nigdy nie chodzi, Pytałem nieraz, dlaczego do Zgorzeń na mszę nie przyjdzie, to nos wystawił, oczy zmruży — tu ksiądz wyciągnął szyję i zakrzęczał łomotliwie, niby panna Powidzka: — Brat, mów, co niedzieli konie po mnie przysyła, to jadę do Jaglenicy, bom zwyczajna. Więc wierzyłem, choć nie powinienem, bo jak o wodzie zacząłem, baba już rogi pokazała. Ale myślę sobie — dziwactwo. A skoro do kościoła co niedzieli jeździ, trafią jej do sumienia. I teraz słuchaj. Wracam jak do siebie i kogo spotykam, zgadnij? Kwakiewicz! Do organistów przyjechał po masę dla żony, bo mówi, że najlepsza na łamanie w kościołach. Nie wierzę, organistów łajdus, gęsi smalec z kurzymi bzdinkami uciera i mówi, że z miasta przepis dostała, ale niech jej tam. To biorę go do siebie, bom dawno nie wdział i wiesz, czego się dowiaduję? Od roku noga panny w Jaglenicy nie powstała, tak się z bratem o Kwakiewicza poszarpała, bo starego z Wolicy wyrzuciła za to, że kartofle sobie na jej gruncie sadził. Aż mną zażęszło. To ty tak do kościoła co niedziela jeździsz? Czekał, pokaże jej ci. Pamiętaj Szymek: bracie ze studni, ile kto podola! Wody ludziom żałować? Zlituj się, toz jakbyś ognia widząc zza firanki jak Szymek organistów z

Zgorzeniom-wsi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Od wczesnego rana do zmroku, wciąż ktoś przylatywał, to z konwią, to z wiadrami i brał, aż chlustało. Panna i na sad mając baczenie, teraz dwoiła się i troiła, wreszcie się zarzuciła, bo gospodynie jakby się mieniły przy studni, gdyż znów mężczyźni co wieczór, obowiązkowo na Powidkiew ruszali. Jakaś psotna przekora się w nich rozbudziła, że dzień uważali za zmarnowany, gdyby nikt pannie wody nie podebrał. A przed nocą, co sobie po cichu szepotali, sam ksiądz po studnię się podkładał. Zawsze prznosił kapelusz nad herbatę, ale choćby raz w tygodniu nie mógł sobie odmówić uciechy. Kapelusz naciągał, kapelusz zostawiał w domu, brał dzbanek z umywalni i cichcem wymykał się przez werandę, żeby go Konopiaczka nie widziała. Potem chyłkiem przemycił się wzdłuż drogi, kuląc w sobie, gdy kogoś ze zgorzeń spotkał, i cieszył się niby Szymek organistów, gdy mu się udało tak wyciągnąć ceber, że nawet echo nie zadudniło. Czasem, bywało, że panna go dostrzegła. Wtedy wrywał, ile sili w nogach. Choć raz go dopadła. Nie wiedział, że za kołem schowała się, czekając. To go laską dzieliła przez plecy, że ledwo się wymknał. Szczęściem, że dzbanek nie uрониł, bo ludzie znalazłszy, zaraz by poznali. Tylko jeden ksiądz miał taki dzbanek pękający, z malowanym bukietem.

Już mrok małowiał niebo, kiedy Hieronim szedł na Powidkiew. Co kilka kroków nawet podbiegał, żeby ciepłej było i spieszniej. Bał się o zmroku spotkania z panną, a dostrzegł go, na pewno dostrzeże. Zapomniała już zupełnie o sadzie, zapomniała o wszystkich, taka się w niej chciwość na wodę rozrosła. Jak w Zgorzeniach-wsi rozpaliała się chęć przekory, tak w niej zapiekła zazdrość posiadania. Schuła jeszcze bardziej, z szarej zrobiła się czarna, nos wydużył się w kościastej twarzy, a oczu bacznych, niespokojnych, jedną tylko myślą opętanych, nie odrywała od okna, by wybiec każdej chwili, deszcz czy pogoda. Jakoż Hieronima dostrzegła.

— Czemu tu chcesz? — zaskrzęczała nad nim. Zląkł się trochę, bo go niespodzianie zastała, ale odparł śmiało, choć się w nim serce tkliło:

— Po wodę przyszedłem — i zabrał się do kręcenia kołem. — A kto ci pozwolił?

Były coś odrzekli, gdyby mu czasu stało. Na plecy spadło uderzenie. Niby olbrzymi kołowrotek, zawarkotało puszczone z zastawki koło, ceber z hukiem i ludnieniem zniknął w studni. Hieronim odwrócił się, instynktownie zasłonił głowę ręką, więc dostał teraz tylko po ręce. Ujrzał nad sobą parę oczu, na pewno takich jak te węże, które urzekły raz pannę Powidzką. Rzucił wiadra z brzękiem, z głębi studni odpowiedział mu mocny jak dzwon oburzony plusk wody, do której wreszcie ceber doleciał, i nim laska w głowę trafiła, chłopak ryknął w niebogłosy i trzymając się prawą ręką za lewe ramię, którym znów przytrzymał torbę u paska, popędził w kierunku Zgorzeń-wsi. (Ciąg dalszy nastąpi)

LUDZIE I ZDARZENIA



Odważna dziewczynka, Nanne-lore Jakubowski(?) narażając własne życie uratowała swe dwie siostry (zdjęcie powyżej) od śmierci w płomieniach. Prefabrykowany domek, w którym dzieci mieszkały z rodzicami na przedmieściach Hamburga, spłonął całkowicie. Rodzice byli w tym czasie w mieście.

★

Fotograf omal nie zapłacił życiem za zdjęcie, które reprodukuje obok. Postanowił on uchwycić z bliska skok ze spadochronem w pierwszej fazie spadania skoczka. „Pozować” zgodził się nad lotniskiem w Ko-

lonii niemiecki instruktor spadochronowy. J. Vieth. Łapiąc go obiektywem fotograf wychylił się tak silnie przez klapę samolotu, że stracił równowagę i wypadł — sam bez spadochronu. W ostatniej chwili jeden z towarzyszy schwycił go za nogę i wciągnął z powrotem.

★

Paweł Mondoloni, międzynarodowy włamywacz o niebywałej zręczności, został po latach poszukiwań zidentyfikowany na Kubie i odesłany samolotem do Francji. W roku 1949 wstąpił się on na Lazurowym Wybrzeżu niezwykle zuchwałą kradzieżą klejnotów należących do żony Agi Khana, jednego z najbogatszych ludzi Europy i Azji. W trzy lata później sąd przysięgłych w Marsylii skazał go za ten wyczyn — jak i za kilka poprzednich — na dożywotnie więzienie. Ale wyrok był zaoczny, bowiem Mondoloni aresztowany po zniknięciu klejnotów, a następnie zwolniony za kaucją, skorzystał z okazji, by zniknąć bez śladu. Obecnie okazało się, że pod przybranym nazwiskiem założył na Kubie kabaret, a nawet się ożenił. Zgodnie z konwencją międzynarodową, władze kubańskie wydały go policji francuskiej.



Tokio, 8-milionowa stolica Państwa Wschoju Słońca jest miastem bez wózków dziecińczych. Tym dziwniejsze to, że liczba dzieci w Tokio przekracza milion. W całej zresztą Japonii wózek dziecienny jest pojazdem rzadkim i nie zanosi się na to, żeby — pomimo wieloletniej obecności wojsk amerykańskich — zyskał w tym kraju popularność. Japonki wołają tzw. „hantan” — rodzaj koszyka czy pudełka, do którego wkłada się dziecko i zawieszają na plecach przy pomocy płóciennego temblaka. W zimie „hantan” jest wyściełany, a ciepło ciała matki stanowi naturalne ogrzewanie. Noszenie dziecka na plecach zmusza kobietę japońską do trzymania się prosto, dając jej zarazem dużą swobodę ruchów. Przy robieniu zakupów nie musi ona zostawiać go przed sklepem czy bazarem i wolna jest od niepokoju. Charakterystyczne jest przy tym, że nie spotyka się w Japonii kobiet z dwojgiem dzieci na plecach. Częściowo tłumaczy to fakt, że bliźnięta są w tym kraju dużą rzadkością. W dawnej Japonii urodzenie bliźniąt uchodziło za hańbę dla rodziny i jedno z nich przeważnie oddawano komuś na wychowanie.

★